



ANTARKTYDA • PERU • CHINY • AUSTRIA • OREGON • WIELICZKA • ZIMBABWE • FRANCJA • WIETNAM • MAROKO

www.poznajswiat.pl

Poznaj Świat

3

2017

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

Peru

TĘCZOWA GÓRA

str. 18

Wywiad z Małgorzatą Wojtacką
– zdobywczynią bieguna

str. 26

CHINY

W CIENIU
NEFRYTOWEGO SMOKA

str. 34

AUSTRIA

GMUNDEN NA WSZYSTKIE BÓLE

str. 48

USA

W STANIE NATURALNYM

ZIMBABWE STR. 70

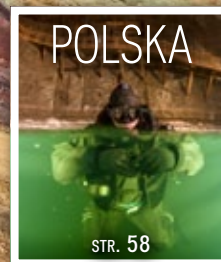
PROWADZIŁO NAS SZCZĘŚCIE

FRANCJA STR. 80

NAD RZEKĄ TARN

WIETNAM STR. 90

POD DACHEM INDOCHIN



ISSN 0032-6143 INDEXS 369802



9177003216147041 03



Il Centro Vacanze & Golf
Pra' delle Torri
- CAORLE -
VENEZIA - ITALIA



Exclusive!

**Co 5 dni, 1 noc
za darmo!**

5=4

**Od 204,00 Euro (4 osoby włączone)
do dnia 31 maja i od 8 września dla wszystkich!!!**

Centro Vacanze Pra' delle Torri

HOTEL - APARTHOTEL - VILLAGE - CAMPING - WATERPARK - SPORT - GOLF

CAORLE - WENECJA - WŁOCHY • Tel. +39 0421.299063 • Fax +39 0421.29903

www.pradelletorri.it • info@pradelletorri.it • [f](https://www.facebook.com/pradelletorri) [ig](https://www.instagram.com/pradelletorri) /pradelletorri



2017: 12.04-24.09

OTWARTE W WIELKANOC

PODGRZEWANE BASENY
(do połowy maja): Olimpijski,
Wyspa Piratów



ANTARKTYDA str. 10



WIETNAM str. 90



ZIMBABWE str. 70



USA str. 48



POLSKA str. 58

W NUMERZE...

FOTOFORUM str. 4

Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

ANTARKTYDA str. 10

Wywiad z Małgorzatą
Wojtacką – pierwszą polską
zdobywczynią bieguna
południowego.

Magdalena Żelazowska

PERU str. 18

Góra w kolorach tęczy.

Karolina Wudniak

CHINY str. 26

Lijiang to największa
atrakcja turystyczna
regionu Junnan.

Marcin Kołpanowicz

AUSTRIA str. 34

Do Gmundenu można
przyjechać, by zażyć ruchu,
odnawiającego spokoju
oraz by nasiąknąć estetyką
na zapas.

Tomasz Owsiany

GEOSKOP str. 44

USA str. 48

Oregon to miejsce dla tych,
którzy chcą na niewielkiej
przestrzeni odbyć wiele
podróży podczas jednej.

Dawid Bystry

PODRÓŻNOŚCI str. 56

Kup sobie raj.

**Felieton Magdaleny
Żelazowskiej**

POLSKA str. 58

Nurkowanie w Wieliczce.

Marcin Trzciniński

NAVIGATOR str. 66

ZIMBABWE str. 70

Tajemnica imponującego
kompleksu ruin.

Elżbieta i Piotr Hajduk

MIKROWYPRAWY str. 78

Jak zostać himalaistą?

**Felieton Łukasza
Długowskiego**

FRANCJA str. 80

Miasteczka znad rzeki Tarn.

Maciej Węgrzyn

POLSKA NIEZNANA str. 88

Przedwiośnie na plaży.

**Felieton Mikołaja
Gospodarka**

WIETNAM str. 90

Pod dachem Indochin.

Magdalena Żelazowska

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

MAROKO str. 98

Błękitne miasto
Szafszawan.

Michał Klima

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 104

Z PERSPEKTYWY str. 106

Kresu nigdy nie ma.

**Felieton Ryszarda
Badowskiego**

OUTDOOR str. 108

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 112



NA OKŁADCE:
góra Vinicunca
w Peru



Adam Biernat

ISLANDIA

Siedzi lisek koło fiordu

Lis polarny to gatunek drapieżnego ssaka z rodziny psowatych. Te urodziwie zwierzęta najczęściej występują w ubarwieniu letnim brązowszarym, a zimą – śnieżnobiałym lub stalowoniebieskim, choć spotyka się też osobniki czarne przez cały rok. Fotograf miał duże szczęście, bo spotkać lisa polarnego wśród bezkresnych połaci tundry to nie lada gratka. Tego uchwycił na Fiordach Zachodnich Islandii.

www.biteoficeland.com

FEEL THE
POWER



VARTA

Zarejestruj się
do 31.08.2017 i wykorzystaj szansę
na wygranie rodzinnego safari w Namibii
lub 1 z 10 lornetek Carl Zeiss



**DO WYGRANIA
RODZINNE SAFARI
W NAMIBII**



Regulamin i rejestracja na:
www.win-with-varta-consumer.com

Szukaj w sklepach naszych
wielopaków,
by zapewnić sobie
zapas energii!

Ganesh H. Shankar (Indie)

INDIE

Próba eksmisji

Papuzki nie były zachwycone, gdy wróciły do gniazda i znalazły w nim jaszczurkę z rodziny waranowatych. Ptaki natychmiast zabrały się do usuwania dzikiego lokatora, skubały go i zwiślały na jego ogonie. Wszystko to trwało dwa dni.

Aleksandretty obrożne gniazdują w niewielkich dziuplach, które chronią je przed drapieżnikami. Jaszczurki waranowate zaś znakomicie się wspinają, szczególnie te najmłodsze, które szukają na drzewach schronienia. Zjadają wszystko, od małych bezkręgowców po żaby, ptaki i małe ssaki, a także jajka.

KATEGORIA: PTAKI
SEKCJA: RÓŻNORODNOŚĆ ZIEMI
ZWYCIĘZCA



© GANESH H. SHANKAR, INDIE, „Próba eksmisji”

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2016, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT.
W DNIACH OD 2 MARCA DO 2 KWIETNIA 2017 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W BYTOMIU W MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIM PRZY ULICY KORFANTEGO 34.
WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL



e+LITE®

Zawsze w plecaku,
gotowy do działania w sytuacji awaryjnej.

Ultrakompaktowa, zapasowa latarka czołowa.
26 gramów, które warto mieć stale przy sobie. Zawsze gotowa do użycia, może być przechowywana z bateriami przez 10 lat w transportowym etui. Gwizdek zintegrowany z opaską elastyczną umożliwia sygnalizację ratunkową w sytuacji awaryjnej. Emituje światło stałe lub pulsujące, białe lub czerwone. 50 lumenów. 10 lat gwarancji. www.petzl.com



Access
the
inaccessible®

Waldemar Lamparski

NEPAL

Krajobraz przed klęską

Zdjęcie zostało zrobione na placu Kathmandu Durbar w 2015 r., na kilka miesięcy przed trzęsieniem ziemi, które zniszczyło większość budynków wokół niego. Plac znajduje się przed starym pałacem królewskim i jest wpisany na listę UNESCO. Dziś także przewija się tam mnóstwo ludzi, a pod ich stopami i nad głowami fruwią gołębie, ale to miejsce już nigdy nie będzie takie samo.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



UZAŁEŻNIAMY OD PODRÓŻY



OPAL TRAVEL

BIURO PODRÓŻY

Wyprawy w kameralnych grupach.
Wyprawy szyte na miarę.
Podróże dla koneserów.
Wypoczynek. Incentive.

Oferta na rok 2017
dostępna w nowym katalogu
oraz na
www.opaltravel.pl



Opal Travel, ul. Karmelicka 19, 00-168 Warszawa
(22) 636 93 99, 636 94 32, 662 257 618

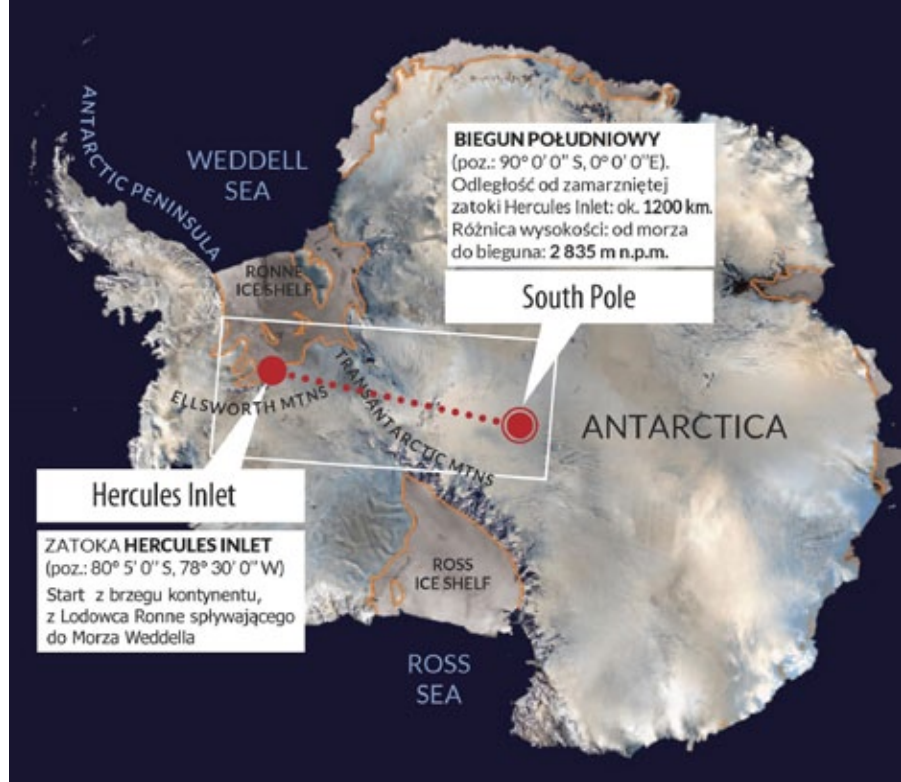
CELEM JEST DROGA

Rozmowa Magdaleny Żelazowskiej z Małgorzatą Wojtacką –
zdobywczynią bieguna południowego.



FOT. MAŁGORZATA WOJTACKA

Pierwsza Polska Kobięca Wyprawa Antarktyczna zakończyła się sukcesem. 25 stycznia 2017 r., po 69 dniach marszu, Małgorzata Wojtacka (ur. 1965) dotarła do bieguna południowego Ziemi. Pokonała ponad 1200 km, od wybrzeża Morza Weddella przez lądolód Antarktydy aż do pozycji 90°0'00 S i 0°0'00 W, na najzimniejszym, najsuchszym i najbardziej wietrznym z kontynentów. Jest pierwszą Polką i jedną z kilku kobiet na świecie, które pokonały tę trasę samotnie i bez żadnej asysty.



dla prasy, radia i telewizji. Czuję się trochę jak w filmie.

Jest już pani w Wikipedii.

Tak słyszałam. Trafiłam tam szybciej, niż wróciłam do Polski.

Jak to jest dołączyć do grona pionierów, o których pisze się w encyklopediach?

Jeszcze nie przyzwyczaiłam się do tej myśli.

To był powód wyprawy?

Pomyślałam po prostu, że fajnie byłoby, żeby dotarł tam ktoś z Polski oprócz Marka Kamińskiego, którego podziwiam. Czemu nie miałyby to być kobieta? Wcześniej na biegun dotarły już Norweżka, Francuzka, Amerykanki, Angielki. Obok ich flag brakowało mi polskiej.

Biegun oczywiście był ważnym celem, ale dla mnie najważniejsza była droga. Dwa lata temu uczestniczyłam w podejściu pod najwyższy szczyt Spitsbergenu, Newton-toppen. Trasę pokonywaliśmy na nartach, z ciągnięciem całego sprzętu na sankach, czyli tzw. pulkach. Na trzy dni przed powrotem mieliśmy doskonałą pogodę, świeciło piękne słońce, czułam się fantastycznie. Żałowałam, że taka fajna wyprawa się kończy. Miałam apetyt na więcej. To wtedy po raz pierwszy pomyślałam o biegunie, bo tam trzeba iść dwa miesiące.

Magdalena Żelazowska: Rozmawiamy dzień po pani przylocie. Po dwóch miesiącach na lodowym pustkowiu znalazła się pani w centrum medialnego szumu.

Małgorzata Wojtaczka: Trudno mi się do tego przyzwyczaić. Po prawie 70 dniach samotności nagle otacza mnie tłum ludzi i cały czas rozmawiam. Na lotnisku powitało mnie wielu znajomych, nieznajomych i dziennikarzy. Razem z przyjaciółmi z Wrocławia poszliśmy na pizzę i przez kilka godzin opowiadałam o tym, jak było. Zaraz potem zaczęły się wywiady



ĆWICZENIA ZE SZCZELIN

Lodowiec Folgefonna (1600 m n.p.m), Norwegia. Specjalny trening Małgorzaty Wojtaczki (na zdjęciu obok) i jej zespołu w pokonywaniu szczelin lodowych.

Wielu miewa takie marzenia, ale nie każdy coś z nimi robi.

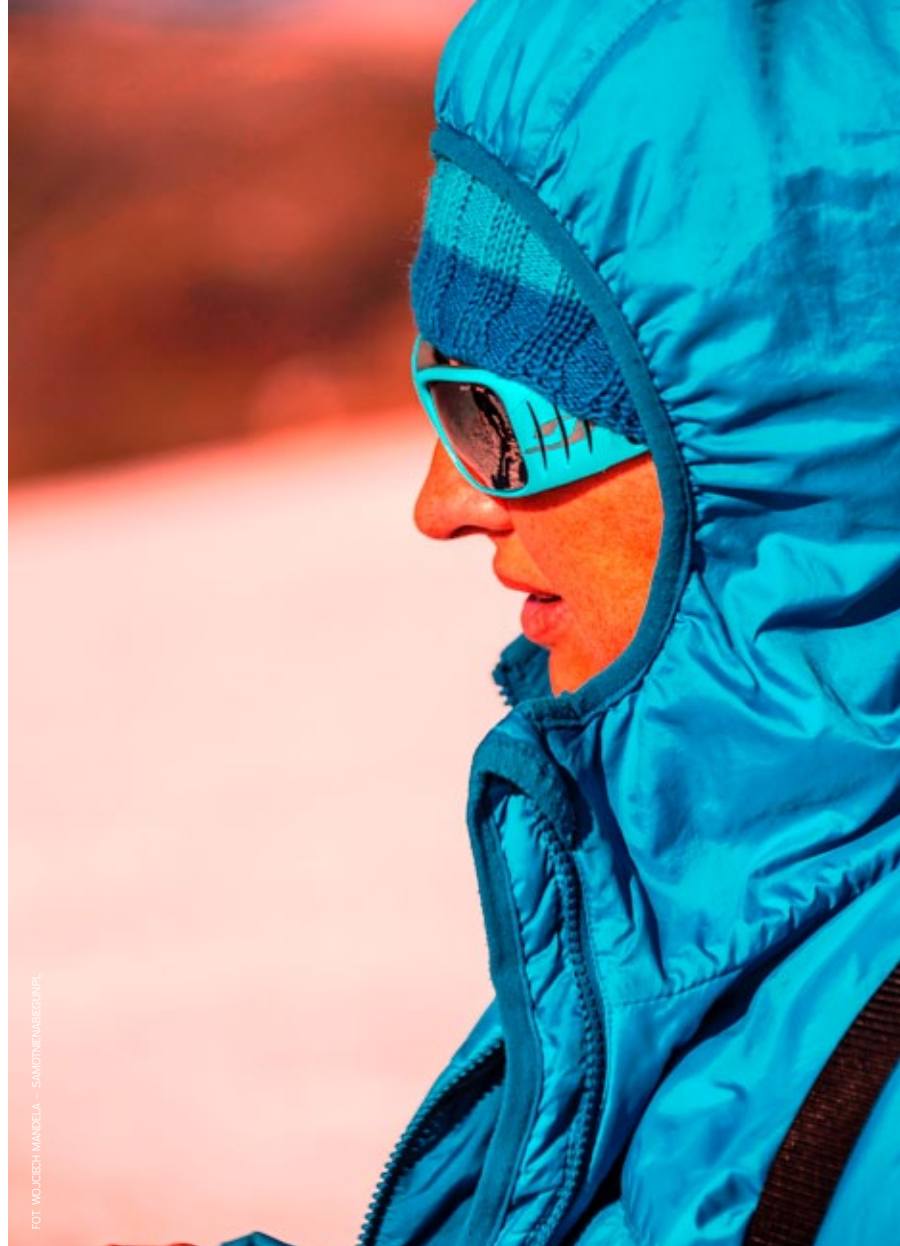
Fakt, że na biegunie południowym nie było dotąd żadnej Polki, był sporą motywacją. Moje marzenie samo przeszło w etap realizacji. Zaczęłam myśleć, co trzeba zrobić, żeby je spełnić. Największą trudnością wydawały mi się występujące na trasie szczeliny lodowe. To one stanowią największe wyzwanie podczas samotnej wyprawy przez Antarktydę. Zbierałam na ich temat informacje, rozmawiałam z doświadczonymi polarnikami, analizowałam, jakbym sobie poradziła, gdybym do jednej z nich wpadła. Postanowiłam zaryzykować.

Jak długo przygotowywała się pani do wyprawy?

Ponad dwa lata. Zaczęłam od zbierania wiadomości o Antarktydzie i potencjalnych zagrożeniach. Czytałam książki, m.in. Marka Kamińskiego i Liv Arnesen – Norweżki, która jako pierwsza kobieta zdobyła biegun samotnie i bez żadnego wsparcia. Potem przystąpiłam do kompletowania sprzętu i obliczania niezbędnego zapasu żywności. Na końcu przyszła pora na załatwianie formalności. Antarktyda znajduje się pod opieką międzynarodowego Traktatu Antarktycznego. Każdy, kto chce wyprawić się na biegun, musi ubiegać się o specjalne pozwolenie, ponieważ rząd jakiegoś kraju musi wziąć za taką wyprawę odpowiedzialność. Od lat indywidualne wyprawy na Antarktydzie koordynuje amerykańska firma Antarctic Logistics & Expeditions (ALE),



FOT. WOLFFE HANDEL - SAMOTNEBIEGUNY



FOT. WOLFFE HANDEL - SAMOTNEBIEGUNY

która 20 lat temu była partnerem logistycznym podróży Marka Kamińskiego. ALE organizuje przeloty z Punta Arenas w Chile na Antarktydę i z powrotem, dostarcza potrzebnych informacji w trakcie marszu, a w razie konieczności koordynuje akcje ratownicze.

Każdy może spróbować swoich sił w podejściu pod biegun?

Należy spełnić szereg wymagań. Ubiegając się o zezwolenie, musiałam wykazać się doświadczeniem z wcześniejszych wypraw polarnych i speleologicznych. Pomogło mi to, że od kilkudziesięciu lat należę do Polskiego Związku Alpinizmu, a działalność górską jest zbliżona do polarnej. Odbyłam też szkolenia lodowcowe podczas rejsów jachtem Selma

Expeditions na Spitsbergen i na Antarktydę. Pozytywną decyzję otrzymałam w czerwcu. Zaraz potem rozpoczęłam kolejne treningi na lodowcu w Norwegii.

Jak przebiegała trasa na biegun?

Zaczęła się w lodowej zatoce Hercules Inlet, na brzegu kontynentu na Lodowcu Szelfowym Ronne spływającym do Morza Weddela. Do bazy ALE Union Glaciers w pobliżu Gór Ellswortha (z najwyższym szczytem Antarktydy Mount Vinson – 4892 m n.p.m.) dolatuje się dużym samolotem transportowym z Chile. Stamtąd jeszcze 20 minut małym, kilkusobowym samolotem do punktu startu. Potem moim jedynym środkiem transportu zostały narty.

BIAŁA CIEMNOŚĆ

Obóz antarktyczny
wśród śnieżnej zamieci,
czyli tzw. *whiteout*.



FOT. MALGORZATA WOLTACZKA

Nie zawsze mogłam trzymać się najkrótszej drogi, a ta biegłaby wzdłuż 80. południka. Musiałam brać pod uwagę rzeźbę terenu. W drodze na biegun wciąż pokonywałam zastrugi – lodowe zasy o wysokości sięgającej do trzech metrów. Czasem ich forsowanie było zbyt trudne – wołałam je obejść, nawet nakładając drogi. Omijałam też pola ze szczelinami.

Do żadnej z nich pani nie wpadła?

Nie, choć kilka z nich musiałam pokonać. Natknęłam się na nie w połowie drogi. Szczeliny w lodowcu pojawiają się zwykle tam, gdzie gwałtownie zmienia się nachylenie terenu. Jeśli zasypie je śnieg, bywają niewidoczne. Na szczęście te, na które trafiłam, dało się rozpoznać dzięki wyraźnym krawędziom i szerokim zagłębieniom pośrodku. Musiałam

sprawdzać kijkami, czy da się je przejść. Włożyłam uprząż wspinaczkową i przypięłam sobie śruby lodowe, które w razie upadku mogłyby mi posłużyć do próby samodzielnego wyjścia. Udało mi się bezpiecznie przejść, ale przed sobą widziałam kolejne, coraz większe szczeliny. Skręciłam na wschód i zdecydowałam się nadłożyć drogi, aby je ominąć.

Mapa Antarktydy przypomina białą pustynię, nie widać żadnych punktów orientacyjnych. W jaki sposób pilnowała pani kursu? Miałam GPS i kompas. Nie mogłam przez cały czas iść z włączonym GPS-em, ponieważ pochłaniałby za dużo energii, a korzystałam tylko z paneli słonecznych. Dlatego swoją pozycję sprawdzałam tylko raz dziennie, wieczorem. W ciągu dnia używałam kompasu, który niosłam przed sobą na specjalnym stelażu.

SELFIE ANTARKTYCZNE

Styczeń 2017 r.,
Antarktyda. Do bieguna
zostało jeszcze 500 km.



FOT. MALGORZATA WOLTACZKA

W jednej z relacji napisała pani, że czas płynął niezauważenie. Nie nużyła pani samotna wędrówka?

Ani trochę! Po miesiącu marszu nie mogłam uwierzyć, że to już półmetek. Każdy dzień był inny. Raz wiał silny wiatr, innym razem zapadała kompletna cisza. Jednego dnia świeciło słońce, następnego padał śnieg, który na Antarktydzie, wbrew pozorom, nie jest częstym zjawiskiem. Bywało, że zapadała mgła i wokół

przydarzyć: awaria sprzętu, złamana narta, namiot porwany przez huraganowy wiatr. Niektóre rzeczy można naprawić, ale nie wszystkie. Mogłam też zachorować, skrócić nogę. Im byłam bliżej celu, tym większe czułam napięcie. Na dwa tygodnie przed końcem powtarzałam w myślach: oby tylko sprzęt wytrzymał, jeszcze chociaż tydzień, bo ostatnie dni mogę przejść nawet na piechotę, bez nart.



FOT. WALCZYSTA WOLCZAKA

robiło się zupełnie białe – taki *whiteout*. Dynamicznie zmieniały się też chmury, które tworzyły przepiękne, różnokolorowe pióropusze. W drugiej połowie trasy zaczęłam nerwowo śledzić upływ czasu. Zaczęłam się martwić, czy zdążę.

Miała pani co do tego wątpliwości?

Od początku brałam pod uwagę taką ewentualność. Po drodze zawsze coś może się

Podobno zabrakło pani jedzenia.

Mój marsz przedłużył się o kilka dni, dlatego w ALE zaproponowali mi zrzut prowiantu. Uspokoiłam ich, że mam wystarczającą ilość. Doświadczenie zdobyte w górach podpowiedziało mi, żeby mimo wagi pulek (ok. 100 kg) wziąć trochę więcej żywności. Liczyłam się z tym, że mogę gdzieś utknąć na kilka dni, choćby z powodu pogody. Poza tym na początku wędrówki zjadałam mniej,

ŁĄDOWISKO – ŁODOWISKO

Samolot transportowy dalekiego zasięgu Il-72 do lotów między Punta Arenas i bazą Union Glacier. Pas startowy niebieskiego lodu ma ponad 3 km.

bo mniej się męczyłam, a organizm miał jeszcze zapasy. W ten sposób zaoszczędziłam trochę prowiantu.

Co się je podczas takiej wyprawy?

Pożywienie, które ma jak najwięcej kalorii i jak najmniej waży. Sprawdza się żywność liofilizowana, czyli pozbawiona wody w procesie suszenia. Tak jak chińskie zupki zalewa się ją wrzątkiem pozyskiwanym z gotowanego śniegu. Na kolację jadłam podwójne porcje, do których dodawałam łyżkę oliwy z oliwek, a na śniadanie płatki owsiane z mlekiem w proszku i cukrem. W przerwach w marszu zjadałam słodczyce – czekoladę, cukierki, batoniki, chałwę, marcepan. Sprawdzają się też suchary ze smalcem. Spakowałam dużo różnych rzeczy, bo po pewnym czasie nie można patrzeć wciąż na to samo.

POZNAŁA ŚWIAT

Południowy biegun geograficzny Ziemi, 25 stycznia 2017 r. Małgorzata Wojtaczka z naszym proporcem, który towarzyszył jej przez cały 69-dniowy marsz od brzegu kontynentu Antarktydy do bieguna.

Szła pani samotnie, ale w stałym kontakcie ze światem. Łączność to chyba coś, co najbardziej różni współczesne wyprawy polarne od pionierów sprzed wieku?

Dzisiaj to obowiązek. Zgodnie z wymogami ALE musiałam mieć dwa telefony satelitarne i tracker, który na bieżąco wysyłał informacje

o mojej aktualnej pozycji. Na początku sam ustalał moją lokalizację, ale w okolicach bieguny mapy się kończą i później musiałam nanosić ją ręcznie. Używałam telefonu satelitarnego Irydium Go!, który obsługuje się za pomocą smartfona, więc mogłam pisać, przysyłać zdjęcia i być w kontakcie z moim zespołem w Polsce. Kiedy chciałam przekazać więcej informacji, dzwoniłam, a ktoś włączał dyktafon i spisywał moją relację.

Szła pani samotnie, ale od pierwszego kroku czuwał nad panią zespół dobrych duchów.

A właściwie jeszcze przed wyruszeniem. Przyjaciele z wrocławskiego klubu speleologicznego na kilka dni przed wylotem wprowadzili się do mnie i pomagali mi się pakować. Kiedy szłam, byłam w codziennym kontakcie z zespołem wspierającym w Polsce. Niezależnie koordynatorzy z bazy ALE wysyłali mi prognozy pogody. W każdej chwili mogłam o coś zapytać, poprosić o przesłanie czegoś mailem. Po całym dniu marszu, rozbiciu namiotu i gotowaniu nie zostawało mi wiele czasu ani siły na wyszukiwanie potrzebnych informacji. W takich chwilach kontakt na odległość był nieoceniony.



Czy kobiecie trudniej jest zdobyć biegun niż mężczyźnie?

Każda płeć ma swoje mocniejsze i słabsze strony. Faceci na ogół są silniejsi, mogą więcej podnieść, łatwiej pociągnąć pulki. Dziewczyny są za to bardziej wytrzymałe i odporniejsze na stres. Decydujące znaczenie mają jednak cechy indywidualne, niezależne od płci. Ważna jest umiejętność długotrwałego funkcjonowania w trudnych warunkach. Często przebywałam w bardzo niskich temperaturach: -30°C przy silnym wietrze odczuwa się jak -45°C . Organizm musi to znieść. Musiałam też radzić sobie z napięciem. Nie zawsze wszystko działało: a to od nart odkleiły się foki, a to zawiodła kuchenka do gotowania. Nie można wtedy spaść w panikę. Trzeba pokonać zmęczenie i myśleć racjonalnie.

Czy podczas wyprawy przeżyła pani jakiś kryzysowy moment?

Na szczęście nie. Uniknęłam dużych awarii sprzętu. Miałam zapas jedzenia, dwie kuchenki, dodatkowy komplet kijków i wiązań do nart. Niepokoiliam się tylko o czas – czy zdążę, czy w ostatniej chwili nic mi się nie przydarzy. Wprawdzie mogłam liczyć na wsparcie, ale zależało mi właśnie na tym, żeby z niego nie skorzystać, żeby dotrzeć na biegun całkowicie samodzielnie.

Ile czasu spędziła pani na biegunie?

Kilka godzin. Na miejscu powitało mnie trzech przedstawicieli ALE, którzy małym samolotem Twin Otter zabrali mnie z powrotem do głównej bazy pod Mount Vinson. Stamtąd następnego dnia czekał mnie przelot dużym samolotem transportowym do Punta Arenas nad Cieśniną Magellana w Chile.

Co pani czuła, patrząc na pokonaną przez siebie trasę z okien samolotu?

Widziałam odcisnięte w śniegu ślady moich nart i pulek. Czułam ulgę: udało się! Byłam bardzo szczęśliwa. I chyba nie do końca wierzyłam, że zrealizowałam tak szalony pomysł.

Czy zdobywcą trzeba się urodzić?

Myślę, że tak. Niektórzy z natury są ciekawsi świata, chcą więcej niż inni. Ale marzenia nie wystarczą. Najważniejsze jest dobre



przygotowanie. Pokazuje to historia pionierów w zdobywaniu bieguna południowego: Brytyjczyka Roberta Falcona Scotta i Norwega Roalda Amundsena. W 1911 r. podjęli dwie niezależne wyprawy na biegun. Udało się dotrzeć obu, ale wyprawa Scotta skończyła się dla niego i jego załogi tragicznie. Amundsen nie tylko zdobył biegun, ale wrócił z niego cało wraz z załogą, właśnie dlatego, że przewidział zagrożenia i dobrze się do nich przygotował. Ja też osiągnęłam mój cel, ale nie za wszelką cenę. Chciałam to zrobić bezpiecznie. Byłabym zadowolona, nawet gdyby udało mi się przejść choćby połowę trasy.

Ma już pani plany na przyszłość?

Już o nich myślę.

To ważne, żeby były widowiskowe?

Cel ma znaczenie, ale najważniejsza jest sama przyjemność zdobywania, dochodzenia do celu. W marszu na biegun pociągała mnie też samotność, bo chciałam sama siebie sprawdzić. Teraz marzy mi się wyprawa bez pośpiechu. W drodze na biegun miałam narzucone tempo, z powodu ograniczonej ilości jedzenia i nadciągającej zimy musiałam pokonywać 20 km dziennie. Następnym razem chciałabym zwolnić, zatrzymać się, popatrzeć. Razem z załogą Selma Expeditions planujemy nowy rodzaj wypraw na Antarktydę. To będzie świetna okazja, żeby wykorzystać to, czego się nauczyłam. ○



Małgorzata Wojtaczka

Pasjonatka wypraw jaskiniowych oraz ekspedycji w rejon polarny. Brała udział w odkrywaniu jaskiń w górach Picos de Europa w Hiszpanii. Zdobyła na nartach Newtontoppen (1717 m n.p.m.), najwyższą górę Spitsbergenu. Samotnie przeszła ponad 120 km przez największy płaskowyż Europy – Hardangervidda w Norwegii. Uczestniczka żeglarskich wypraw polarnych, podczas których opłynęła jachtami żaglowymi m.in. Spitsbergen, przyładek Horn i dotarła na Antarktydę. Teraz zdobyła biegun południowy.



A wide-angle photograph of the Rainbow Mountain (Tęcza Góra) in Peru. The foreground and middle ground show steep, barren hillsides with distinct horizontal bands of various colors including red, orange, yellow, green, and blue. In the background, a sharp, rocky mountain peak rises against a bright blue sky filled with large, white, fluffy clouds.

TECZOWA GÓRA

Karolina Wudniak

Stoję i patrzę na górę Vinicunca. Po policzku spłynęła mi łza, bo nie potrafię wyrazić zachwytu w inny sposób. Nie oddadzą go słowa. Jakby tego było mało, nad moją głową przelatuje kondor – władca nieba w andyjskich wierzeniach. Pierwszy, jakiego było mi dane zobaczyć w środowisku naturalnym. No i jak tu nie płakać od nadmiaru piękna?



Tęczowa góra jest dla mnie długo wyczekiwaną nagrodą. To czwarty dzień trekkingu. W jego trakcie trzykrotnie przekroczyliśmy 5000 m n.p.m., schodziliśmy, wspinaliśmy się, schodziliśmy i znowu się wspinaliśmy. Niekiedy strach było spojrzeć w dół, bo ścieżka wąska, a w pod nią nic, na czym mogłabym się zatrzymać, gdyby powiła mi się noga. Po co się tak męczyć?

PALETA MATKI NATURY

5 dni marszu, 50 km i cały czas tylko góra, dół. Trudno się oddycha, bo poruszamy się na wysokości pomiędzy 4500 a 5200 m n.p.m. W nocy z powodu braku odpowiedniej ilości tlenu nie można spać, więc rano brakuje

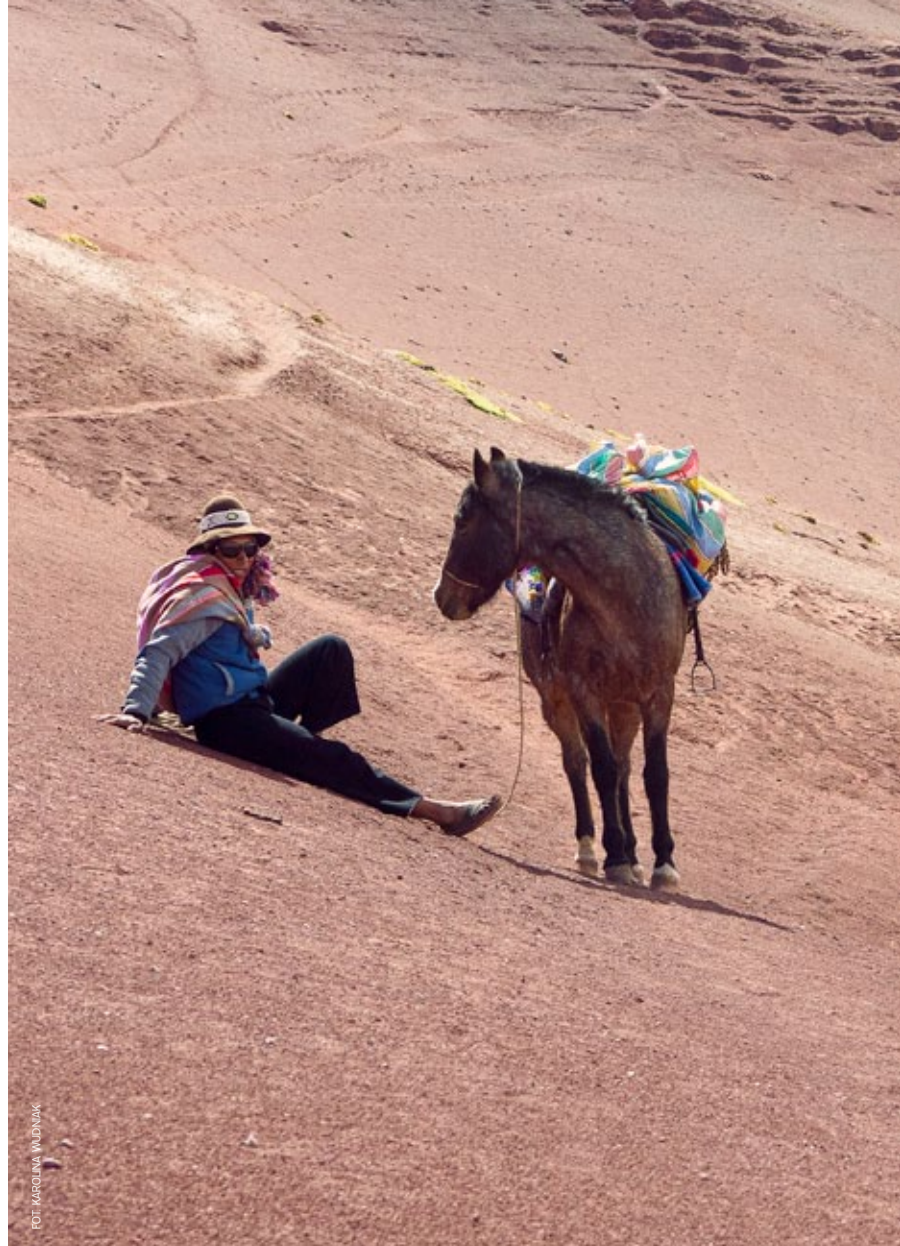


FOT. KAROLINA WUDNAK

PO DRUGIEJ STRONIE TĘCZY
Tęczowa góra to nie jedyny
niezwykły widok podczas trekkingu.
Cała trasa naszpikowana jest
przepięknymi krajobrazami.

energii. A tej potrzeba na trekkingu sporo. Nogi niekiedy odmawiają posłuszeństwa, ale iść trzeba. Przecież nie zawrócę, za daleko już zaszliśmy. Kiedy jednak czwartego dnia stajemy pod tęczową górą, wszystko ustępuje. Radość, satysfakcja i wzruszenie zajmują miejsce zmęczenia, a nawet dodają energii na dalszą część trekkingu.

Przedemną maluje się piękny widok na wielokolorową górę. Z lewej strony mam zieloną, pofałdowaną dolinę, którą otaczają czerwone i żółte wzgórza. Z prawej rysują się ośnieżone szczyty, z najwyższym – Ausangate (6384 m n.p.m.) – chowającym się lekko za chmurami. A na grzbiecie, na tle błękitnego nieba, przelatuje kondor. To jest jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie w życiu widziałam!



FOT. KAROLINA WUDNAK

Vinicunca jest położona na wysokości ok. 5000 m n.p.m. Niezwykłe ubarwienie zawdzięcza strukturze geologicznej oraz wypiętrzeniu, które wypchnęło tęczowe warstwy na grzbiet góry. Błękitne niebo i białe chmury pięknie kontrastują z jej kolorami i sprawiają wrażenie obrazu, w którym ktoś użył intensywnych barw. Tym kimś była Matka Natura i wyjątkowo się postarała przy tworzeniu dzieła! Mamy szczęście również z innego powodu. Wyszliśmy odpowiednio wcześniej i przy Vinicunce jesteśmy pierwsi tego dnia. W dole widać już jednak tłumy. Wszak tęczowa góra stała się niedawno kolejnym wabikiem turystycznym Peru.

Jeszcze przed końcem 2015 r. mało kto o niej wiedział. Do wtedy jedynymi turystami,

KOŃ AWARYJNY

Wędrowcom towarzyszył Ernán wraz z koniem, który mógłby przewieźć osłabionego uczestnika wyprawy. Na szczęście zwierzę przeszło całą trasę bez dodatkowego obciążenia.

którzy mogli ją podziwiać, byli ci idący na trekking wraz z Andean Lodges – przedsiębiorstwem turystycznym współtworzonym przez społeczności Chillca i Osefina. To mieszkający wysoko w górach pasterze, którzy utrzymywali się z transportowania na lamach żywności przez doliny pasma Vilcanota. Ich główne źródło dochodu stopniało jednak wraz z rozwojem infrastruktury peruwiańskiej. W latach 60. Andy przecinano drogami, więc

o turystach, skoro do oddalonego o 100 km Cuzco rocznie przyjeżdża ich prawie 3 mln.

PUCHATE BAGAŻÓWKI

Tak powstało przedsięwzięcie, które z jednej strony daje zatrudnienie miejscowym, a z drugiej pozwala turystom zobaczyć zwyczaje i tradycje górali, którzy mogą je kulturować, aby całkowicie nie zniknęły. – 20 proc.

U PRZĄŚNICZKI

Tradycyjny sposób przędzenia z wełny lamy lub alpaki. Tak mieszkanki wysokich Andów tworzą chusty czy koce, które można kupić choćby w Cuzco.



lamy przestały być potrzebne, a ich wartość drastycznie spadła. Społeczności jak Chillca i Osefina stały się biedne.

– Lama, która pracuje, splaca koszty swojego utrzymania w 20 dni. Wszak utrzymanie lamy do transportu wynosi 40-krotność wartości jej mięsa, zatem sprzedaż na mięso zwyczajnie się nie opłaca – mówi Roger Valencia, dyrektor i założyciel Andean Lodges, a od 2016 r. wiceminister turystyki w Peru. Pasterze przyszli do niego kilka lat temu z prośbą o stworzenie programu turystycznego. Musieli znaleźć alternatywne źródła dochodu, pomyśleli więc

udziałów firmy należy do społeczności Chillca i Osefina, zatrudniamy kilkanaście osób na stałe i dziesiątki sezonowo. Organizujemy również warsztaty tkactwa, aby szerzyć tradycje tutejszych społeczności – mówi Franco Delgado z Andean Lodges. Teraz lamy transportują bagaże turystów tak samo, jak przewożyły przez doliny pożywienie setki lat temu. Dzięki przedsięwzięciu sporo mieszkańców górskich wiosek ma pracę w turystyce i chętnie dzieli się tradycjami oraz opowieściami z przyjezdnymi z całego świata, żeby zobaczyli z bliska, jak trudno żyje się w wysokich Andach.

JEGO WYSOKOŚĆ SIĘ ROZCHMURZYŁ

Szczyt Ausangate (6384 m n.p.m.), pokryty śniegiem i często schowany w chmurach, pokazał swój majestat.





FOT. KAROLINA WIDNIAK

LAMA NIE DO LAMUSA

Choć coraz rzadziej służą do transportu, lamy są wciąż niezwykle przydatne. Z ich wełny wytwarza się tkaniny, a mięso jest delikatne w smaku.

A nie jest łatwo. Nie ma prądu, dzień wyznaczają wschód i zachód słońca. Domy z reguły są niewielkie: kilkusobowa rodzina mieszka w jednej, małej izbie, która jest jednocześnie sypialnią, kuchnią i pokojem dziennym. Łazienka, jeśli w ogóle jest, to niewielki wychodek na dworze.

Rolnictwo właściwie tu nie istnieje, głównym zajęciem jest wypasanie lam i alpaki. W porze suchej (od marca do listopada) pasterze przemierzają góry ze stadami w poszukiwaniu trawy, bo tej wtedy brakuje. Do wioski Chillca nauczyciel przyjeżdża z miasta na 2–3 dni w tygodniu, w pozostałe dni dzieci nie chodzą do szkoły. Te mieszkające w chałupach położonych w wyższych partiach docierają do niej na piechotę – o ile w ogóle się uczą. Często mówią jedynie w języku keczua, nie znają hiszpańskiego, mimo że jest to urzędowy język w Peru i dzieci mają obowiązek się go uczyć.

Zakupy można zrobić w sobotę, kiedy przyjeżdżają sprzedawcy z większego

miasta. Wtedy wszyscy schodzą się do Chillca, żeby wymienić towary: mięso, wełnę z alpaki czy lamy oraz rękodzieło wełniane na produkty spożywcze.

A jednak pomimo trudności życia codziennego i niewielu rozrywek mieszkańcy Andów nie narzekają, a przyjezdnych obdarzają szerokim, szczerym uśmiechem i krótką rozmową. Nie sposób poznać ich dobrze w ciągu paru dni, ale można choć trochę dowiedzieć się, jak żyją.

WĘDRÓWKA SKÁLNYCH BRACI

Nie każdy może sobie pozwolić na kilkudniowy trekking, a wiele osób chce zobaczyć tęczaową górę, której zdjęcia widzieli (w listopadzie 2015 r. w internecie pojawił się filmik, który stał się wiralem). Wtedy lokalne biura turystyczne zaczęły włączać do swoich ofert jednodniowe wycieczki na górę Vinicunca i teraz dziennie ogląda ją 200 osób.

W KAPELUSZU, ALE BEZ SKARPET!

Ernan, opiekun koni. Andyjczycy chodzą po górach w tradycyjnych strojach i obuwiu całorocznym: skórzanych sandałach. Bez skarpetek, niezależnie od pogody (co widać na poprzednim zdjęciu Ernana).



Jak tłumaczy Franco Delgado, ta popularność tęczowej góry cieszy, ale jej nie służy. Nie ma ani żadnych regulacji dotyczących odwiedzania Vinicunki, ani infrastruktury (np. barierek, które nie pozwalają wchodzić na górę, co ludzie nagminnie robią), a ta piękna i delikatna okolica nie jest przygotowana na przyjęcie takiej liczby turystów dziennie. Dlatego trwają prace nad objęciem terenu ochroną.

To jednak nie sama tęczowa góra świadczy o wyjątkowości regionu. Pasma górskie Vilcanota ze wszystkimi dolinami i szczytami zachwyca różnorodnością krajobrazów: od kolorowej góry i czerwonych zboczy, przez jeziora lodowcowe, po surowe, ośnieżone szczyty, w tym wspomniany Ausangate, który jest czwartym najwyższym szczytem Peru. To do Apu Ausangate (w mitologii inkaskiej *apu* to duch lub bóg gór) mieszkańcy okolicznych wiosek wznoszą prośby, podziękowania i składają ofiary. I to Apu odpowiada za dobrą lub złą pogodę, za deszcze

nawadniające nieliczne pola uprawne i za suszę niosącą głód.

Legenda mówi, że Ausangate był bratem Salcantay (najwyższy szczyt pasma Vilcabamba, 6271 m n.p.m.) i obaj mieszkali w Cuzco. Po jednej z susz bracia rozdzielili się, aby uratować miasteczko od głodu. Salcantay poszedł na północ. Znalazł lasy, zakazał miłość Veroniki (5682 m n.p.m.) i problemy. Ausangate z kolei poszedł na południe, gdzie znalazł ziemię bogatą w ziemniaki, alpaki i kukurydzę. W ten sposób ocalił mieszkańców Cuzco przed głodem.

Inna legenda dotyczy ukształtowania terenu na przełęczy Puruauca. Zbocze tej czerwonej góry jest pełne wybrzuszeń, które przypominają twarze. Mają to być oblicza śpiących żołnierzy, którzy obudzą się, gdy świat w obecnej formie przestanie istnieć i rozpocznie się nowa era. Zanim to jednak nastąpi, można bez obaw przed żołnierzami wybrać się w te rejony, aby podziwiać jeden z bezsprzecznych cudów Peru i Ameryki Południowej: tęczową górę i Apu Ausangate. ○

**Karolina Wudniak**

Dziennikarka, fotografka, blogerka, autorka dwóch przewodników turystycznych i pilotka wycieczek. Wolny strzelec i wolny duch. Obecnie poznaje Nową Zelandię podczas „Niekończącej Się Podróży Poślubnej”. Uwielbia fotografować, kocha jazdę na nartach, nie ma nic przeciwko dostarczaniu adrenaliny przez sporty ekstremalne. Bloguje na tropimypyprzygody.pl.

W CIENIU NEFRYTOWEGO SMOKA

Marcin Kołpanowicz





SZCZĘŚLIWE UJĘCIE

Poszarpany masyw Śnieżnej Góry Nefrytowego Smoka doskonale widać z każdego punktu Lijiang. Ale że pogoda bywa tu zmienna, trzeba mieć szczęście, żeby zrobić takie zdjęcie.



CHIŃSKIE KRUPÓWKI

Uliczki Lijiang, tutejszego Zakopanego, puste o świcie, za dnia wypełniają się tłumem turystów.

W lutym 1996 r. Lijiang nawiedziło trzęsienie ziemi, którego siła osiągnęła 7 stopni w skali Richtera. Większość murowanych budynków została zburzona, natomiast drewniane domy, wzniesione przez lud Naxi tradycyjnymi metodami, bez użycia gwoździ, przetrwały wstrząsy. Dlatego gdy przystąpiono do odbudowy miasta, postanowiono wykorzystać starożytne „wstrząsoodporne” metody. Dziś całe centrum Lijiang ma jednorodną, drewnianą zabudowę. Stolica królestwa Naxi leży na wysokości 2400 m n.p.m., w najbardziej dziewiczym i nieskażonym zakątku prowincji Junnan. Jest największą turystyczną atrakcją regionu.

Trudno oprzeć się urokowi tonących w kwiatach stromych uliczek Lijiang, poprzecinanych przez rzeczki i kanały, nad którymi rozpięto 300 kamiennych mostków. W ciemnozielonych wodach migają czerwone ryby, które łatwo pomylić z odbiciami cynobrowych lamponów wiszących na budynkach. Nad kanałami pochylają się płaczące wierzby i kwitnące krzewy magnolii. Co krok uderza w nozdrza zapach imbiru, cynamonu, oleju kokosowego czy goździków. Z kawiarenek dochodzi

odgłos wykonywanych na żywo tradycyjnych chińskich melodii. Wzrok przeslizguje się po wystawach sklepów i kramów. W mrocznej pracowni krawca świecą cytrynowożółte, haftowane jedwabne suknie. Na wystawie jubilera pyszną się jaspisowe owale, uzyskane przez oszlifowanie bezkształtnych, burych brył leżących obok. Na straganie owoce dzakfruta wyglądają jak gigantyczne jeżowce. Restauracje są reklamowane wiszącymi przy wejściu suszonymi żeberkami, które przypominają broje wojowników ze starożytnego eposu.

SEAN CONNERY W KOLEJCE GÓRSKIEJ

Wychodzę z hotelu wcześnie rano, by pospacerować uliczkami niezalanymi jeszcze falą turystów. O świcie na Sifangjie, głównym deptaku miasta, tańczą starsze kobiety w ludowych strojach, granatowych czapkach i bordowych kaftanach, witając w ten sposób nowy dzień. Pozdrawiam je jedynym słowem, jakie znam w języku ludu Naxi: *Alalali!* (dzień dobry). Staruszki uśmiechają się do zdjęcia, nie przerywając płasów. Nad wygiętymi jak łodzie dachami miasta wylania się z porannych mgieł Śnieżna Góra Nefrytowego Smoka. To cel mojej dzisiejszej wyprawy.

Nie, nie planuję wspinaczki na 5596 m n.p.m. – na taką wysokość wznosi się najwyższa z „głów” Nefrytowego Smoka. Utworzone z kruchego wapienia górne partie masywu są zagrożone lawinami i bardzo niebezpieczne dla wspinaczy, a znaczną część góry pokrywa niestabilny lodowiec. Najwyższy szczyt został zdobyty tylko raz – śmiałkami, którzy dokonali tego wyczynu w 1987 r., byli członkowie amerykańskiej ekspedycji. Jednak przedstawiciele ludu Naxi do dziś nie

przyjmują do wiadomości, że ich największa świętość, tajemnicze i niedostępne mieszkanie boga Śnieżnej Góry, zostało sprofanowane ludzką stopą, i to na dodatek – amerykańską. Nefryt pozostaje dla nich symbolem czystości, a wytryskująca ze skały woda, której przypisują uzdrawiające właściwości, potwierdza boskość tego miejsca.

Ponieważ chiński turysta nie lubi się przemęczać, na jeden z pomniejszych wierzchołków masywu doprowadzono kolejkę linową. Wyjechałem nią na górę w 10 minut, najpierw jednak musiałem odstać trzy kwadransy w serpentynowo zakręcającym ogonku oczekujących na wagonik. Przez ten czas obserwowałem z zaciekawieniem różne przykłady orientalnej urody reprezentowane przez moich współkolejkowiczów, sam również byłem obiektem ich żywego zainteresowania. W Chinach przytrafiło mi się po raz pierwszy, że nie tylko ja robiłem zdjęcia miejscowej ludności, ale miejscowa ludność równie chętnie utrzymywała na kliszy moją fizjonomię. Do dziś nie wiem, czy powodem tej niespodziewanej atrakcyjności była moja biała cera, broda, kapelusz, czy też może omyłkowo byłem brany

W KOLEJCE DO SMOKA

Gondola linowa na Śnieżną Górę Nefrytowego Smoka pnie się na wysokość ponad 4000 m n.p.m. i uchodzi za jedną z najwyższych na świecie.

FOT. OUTCASTS - SHUTTERSTOCK





THE SHOW MUST GO ON

Przedstawienie plenerowe „Impresja z Lijiang” odbywa się codziennie, bez względu na pogodę. Gdy pada, widzowie otrzymują peleryny, dzięki czemu na widowni robi się równie kolorowo jak na scenie.

za Seana Connery’ego. Zdarzały się dni, kiedy nawet dziesięć razy proponowano mi zdjęcie lub wspólne selfie.

W międzyczasie załamuje się pogoda, która – jak mówi porzekadło ludu Naxi – jest zmienna jak twarz kochanki, i wagoniki unoszą się w górę wśród mlecznej mgły. Na szczycie nie ma szans na zdjęcia, na które tak liczyłem. Temperatura bliska zeru, silny, wilgotny wiatr od strony lodowca i zacinający w oczy śnieg. Ludzie, idąc pod wiatr, mozolnie brną w stronę kamienia, na którym wypisana jest wysokość wzniesienia (4605 m n.p.m.), by udokumentować swój himalaistyczny wyczyn. Nie jest to proste: kilka kroków po równej powierzchni, a mam wrażenie, jakbym się wspinał pod stromą górę – to efekt rozrzedzenia powietrza. Po krótkiej chwili spędzonej w krainie niegościnnego boga Śnieżnej Góry wracam do kolejki i zjeżdżam na dół, by zdążyć na plenerowe widowisko.

ORATORIUM POD ŚNIEŻNĄ GÓRĄ

„Impresja z Lijiang” to godzinny musical wyreżyserowany przez Zhanga Yimou, autora ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich

w Pekinie w 2008 r. Gdy świeci słońce, można się na widowni nieźle spieć; gdy od strony lodowca zawiewa wiatr i śnieg – można prze-marznąć na wylot. Dzięki nieprzewidywalności pogody pod Śnieżną Górą podczas jednego przedstawienia jest szansa na zaliczenie obu tych atrakcji. Przedstawienie warte jest jednak poświęceń. Aktorzy występują codziennie, bez względu na kaprysy aury. W razie deszczu lub śniegu organizatorzy wypożyczają widzom obszerne peleryny, w kolorach turkusu i ultramaryny, kontrastujące z krwistoczerwoną sztuczną skałą, która stanowi scenografię musicalu – naturalną scenografię tworzy sama Śnieżna Góra Nefrytowego Smoka.

„Impresja” to zbyt skromne słowo na określenie monumentalnego oratorium, w którym bierze udział 500 aktorów, tancerzy i śpiewaków. Są tu chóry męskie i żeńskie, zbiorowe sceny pracy, tańca i walki. Górale okryci skórą jaków, w skórzanych „kowbojskich” kapeluszach galopują wokół widowni na małych konikach, wywijają koperczaki na blatach stołów, uderzają w potężne bębny; wieśniaczki dźwigają na plecach ciężkie kosze, tańczą w weselnym orszaku i składają religijne



FOT. MARCIN VOJPAKOWICZ

ofiary. Całość jest obficie okraszona chlokiem amonu, czyli syntetycznym dymem wypuszczanym w stosownych momentach z rurek ukrytych w scenie, i wzbogacona sztucznym wodospadem uruchomionym w finale. Komercyjno-popowa oprawa nie niszczy jednak autentyzmu przedstawienia.

Spośród sześciu odgrywanych na scenie epizodów największe emocje wywołuje historia miłosna oparta na świętych pismach ludu Naxi, porównywana często z Szekspirowskim dramatem „Romeo i Julia”. Legenda pochodzi ze starożytnej epopei, zatytułowanej „Wędrownka młodzieży”, i opowiada o miłości pięknej dziewczyny o oryginalnym imieniu Kangmeijiomingji do młodzieńca, który nosił równie nietypowe imię – Zibuyulengpan. Zakochana K. do rodziców swego ukochanego wysłała kruka, by ten opisał jej zalety i poprosił o zgodę na małżeństwo. Jednak rodzice uważają, że nie jest ona godną partią dla Z., i szyderczo jej odmawiają. Ból dziewczyny narasta, gdy jej ukochany nie pojawia się na umówionej randce – to znów winą pozbawionych serca rodziców, którzy zmuszają go w tym czasie do pracy. Dziewczyna wpada w rozpacz, co przyciąga do niej Demona

Samobójstwa z Miłości, który przekonuje ją, że jej życie nie ma sensu oraz że prawdziwego ukojenia i szczęścia zazna tylko po śmierci. Za podszeptami złego K. podejmuje kilka prób samobójczych, z których ostatnia jest uwieńczona sukcesem. Jakiś czas później Z. wyrusza w góry na poszukiwanie zagubionej krowy – i znajduje wyschnięte ciało swojej ukochanej. Następuje wzruszająca rozmowa Z. z duchem dziewczyny; chłopak wyznaje jej miłość, myśląc, że przywróci ją w ten sposób do życia. Tak się jednak nie dzieje. Teraz z kolei chłopak wpada w rozpacz, a duchy z gór sprowadzają na niego szaleństwo. Dopiero ceremonia *dongba* przywraca mu rozum. *Dongba* to nazwa szamańskiej religii wyznawanej przez Naxi, a także określenie mędrca (szamana) w ich języku.

Choć trudno w to uwierzyć, jeszcze sto lat temu recytacja tej opowieści podczas religijnych ceremonii sprawiała, że młodzi kochankowie po jej wysłuchaniu udawali się na lodowe pustkowia Śnieżnej Góry i wspólnie popełniali samobójstwo. Wśród Naxi wybuchła wręcz epidemia samobójstw z miłości, co spowodowało, że władze zakazały szamanom recytacji starożytnego eposu.

KRZESANY PO CHIŃSKU

Podczas długiego show można się zapoznać prawie ze wszystkimi pieśniami i tańcami górskiego ludu Naxi.



WESOŁE JEST ŻYCIE STARUSZEK

Codziennie rano leciwie
mieszkanki Lijiang
witają wschodzące
słońce tańcem.

RAJ MĘSKI, RAJ ŻEŃSKI

Obyczaje i struktura społeczna mniejszości etnicznej Naxi są zaiste godne uwagi. Przez wieki mężczyźni tego ludu zajmowali się eksportowaniem jedwabiu i herbaty do Tybetu oraz sprowadzaniem stamtąd szafranu, ziół i leczniczych grzybów. Karawany jaków przemierzające wysoko położone przełęcze potrzebowały czterech miesięcy na drogę w jedną stronę i tyle samo czasu na powrót. Kobiety, pozostawione same sobie przez dwie trzecie roku, zajmowały się nie tylko kuchnią i dziećmi, ale stopniowo nauczyły się wykonywać wszystkie męskie prace, włącznie z tymi najcięższymi. Na odcinku kręgosłupa lędźwiowego stroju kobiet Naxi znajduje się osłona ze skóry яка, która służyła jako amortyzacja dla kamieni i innych materiałów budowlanych, transportowanych na plecach przez krzepkie niewiasty.

Z czasem panie całkowicie przejęły władzę nad rodziną, zabrały się także za prowadzenie interesów i dziś właścicielkami niemal

wszystkich sklepów w Lijiang są kobiety. Mężczyźni, gdy wracali do domu na cztery miesiące w roku, zajmowali się nicnierobieniem: palili długie fajki, grali w domino i bawili się z dziećmi. Dlatego właśnie Lijiang był nazywany męskim rajem.

O ile matriarchat panujący wśród ludu Naxi można wytłumaczyć przedłużającą się nieobecnością mężczyzn w gospodarstwie domowym, o tyle trudno znaleźć uzasadnienie dla obyczajów spokrewnionego z nimi ludu Mosuo, mieszkającego nad jeziorem Lugu, oddalonym o 200 km na północny zachód od Lijiang. To najbardziej matriarchalna i matrylinearna społeczność w Chinach – kobieta rządzi tu całym domem, dziedziczenie zaś następuje wyłącznie po kądzieli. Głowa rodziny, zwana *ach mi*, decyduje o losie wszystkich domowników, przydziela im obowiązki, a gdy przeczuwa zbliżającą się śmierć, wyznacza swoją następczynię.

Najbardziej oryginalnym aspektem życia rodzinnego Mosuo jest jednak tzw. chodzone

małżeństwo. Polega ono na tym, że „małżonkowie” nie mieszkają pod jednym dachem, „żona” zaś jest odwiedzana w nocy przez wybranego przez siebie mężczyznę z innego domu. Wszystko odbywa się w tajemnicy, a „mąż” musi opuścić jej sypialnię przed wschodem słońca. Nie będzie on miał też żadnych praw do spłodzonego potomstwa, ani też moralnych, prawnych czy kulturowych wobec niego obowiązków – dziecko wychowywane jest wspólnie przez mieszkańców domu, w którym przyszło na świat, natomiast ojca zastępują mu wujowie (bracia matki).

WAWEL W SZANGHAJU

Charakterystyczny, postrzępiony masyw Śnieżnej Góry Nefrytowego Smoka zobaczyłem ponownie kilka dni później, gdy odwiedzałem Międzynarodowe Targi Turystyczne w Szanghaju. Film prezentujący Śnieżną Górę i inne atrakcje okolic Lijiangu był wyświetlany na wielkim ekranie w jednym z 750 boksów. Pierwsze trzy pawilony prezentowały wyłącznie turystyczną ofertę Chin. Wzdłuż wystawowych alejek sunął, niby połyskujący smok, korowód tancerzy z Teatru Jedwabnego Szlaku w mieście Xi'an, odzianych w cytrynowożółte i różowe jedwabie oraz bogato zdobione korony. W kolejnym pawilonie, mijając cejllońskie piękności i boso nogie Hawajki, obwieszane girlandami kwiatów, zderzam się z jasnowłosą dziewczyną w stroju krakowskim, która przechadza się przed polskim stoiskiem. Spotykam tu panie Cui Ran, szefową biura CT Poland, i Ewę Gajewską, pracującą w jego polskim oddziale, doskonale znającą historię i współczesność Chin. Siedzimy przy stoliku pod banerem przedstawiającym Wawel nocą i rozmawiamy o blaskach i cieniach zwiedzania Państwa Środka przez Polaka.

Przeciętni Chińczycy nie znają angielskiego nawet na poziomie minimalnym, więc dogadanie się wymaga nie lada umiejętności aktorskich. Ponadto prawie wszystkie napisy wewnątrz kraju są sporządzane wyłącznie w chińskich znakach piktograficznych. Przez to problemem staje się nawet odczytanie nazwy miasta na drogowskazie, identyfikacja budynku (sklep? szkoła? szpital?) czy



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

zapakowanego towaru na sklepowej półce (sos sojowy? ocet winny? rozpuszczalnik?). Podobnie jest z internetem, w którym Google czy Facebook są zablokowane; sporym wyzwaniem jest także korzystanie z poczty elektronicznej. Zapewne w niedługiej przyszłości ten problem zostanie rozwiązany, bo władzom zależy, by zagraniczni goście wyjeżdżali stąd zadowoleni. Na razie dowiedziałem się, że o ile na początku działalności CT Poland liczba naszych turystów zwiedzających Państwo Środka dziesięciokrotnie przekraczała liczbę Chińczyków przybywających nad Wisłę, o tyle w zeszłym roku proporcja ta się wyrównała.

Jeśli tendencja się utrzyma, to wkrótce znów mogą stać się fotograficznym przedmiotem pożądania dla skośnookich turystów – tym razem już we własnym kraju. ○



Marcin Kolpanowicz

Malarz i podróżnik. Wrażenia z wypraw są inspiracją dla jego pastelowych i olejnych wizji, łączących w sobie wyobraźnię, poetycką metaforę i filozoficzne przesłanie. Autor ponad 20 wystaw indywidualnych. Jego obrazy pojawiły się na okładkach książek.

Tomasz Owsiany **GMUNDEN NA
WSZYSTKIE BÓLE**



UROK ORT

Zamek Ort wydaje się
wynurzać wprost z tafli jeziora
Traunsee. Żaden inny fragment
miasteczka nie przyciąga tylu
spojrzeń i obiektów.



PLECAMI DO DUNAJU

Dawniej flisacy, a dziś kajakarze mogą podziwiać na rzece Traun malowniczy skraj gmundeńskiej starówki. Chyba że płyną w stronę Dunaju.

FOT. TOMASZ ONISIAK

Gmunden – to nie brzmi atrakcyjnie. Prędkiej jak polipy w nosie niż urokliwy zakątek, wart czasu i pieniędzy. Austrię można podejrzewać o sterylną nudę. Tymczasem właśnie tam, nad jeziorem Traunsee, w zachwycającej scenerii alpejskiego przedproża, można przenieść się do wnętrza widokówki. Zażyć ruchu, odnawiającego spokoju i nasiąknąć estetyką na zapas.



Skaliste grzbiety i zielone pagórki, które stapiają się z błękitnym jeziorem polodowcowego jeziora – nie tylko bogactwo kulturowe, ale i takie widoki zapewniły regionowi Salzkammergut miejsce na liście UNESCO. Piękne, wszechobecne tło w Gmunden towarzyszy nam nieustannie. Podczas spaceru nadbrzeżną esplanadą i schodzeniu z górskich ścieżek. Przy stoliku w kawiarni i w hotelowym pokoju.

W tej scenerii przez stulecia uwijali się tragarze noszący 50-kilogramowe bałwany soli. Na ich pracy wyrósł dobrobyt ówczesnego mieszczaństwa, a wraz z nim – obecna

starówka. Kameralna, a jednocześnie bardzo okazała w skali 13-tysięcznego miasteczka. O kluczowej roli tragarzy przypomina fajansowa fontanna na Rinnholzplatzu, otoczonym wspaniale zachowanymi kamienicami.

GDZIE KRÓL CHODZIŁ PIECHOTA

Flisacy transportujący solne bloki też nie mieli lekko. Ich życie było mniej cenne od powierzonego im ładunku. Flisakiem mógł zostać tylko ten, kto nie umiał pływać, co dawało solnemu rządcy pewność, że chłopci będą walczyć o utrzymanie towaru do samego końca. To jedna z historii, które można odnaleźć w zabytkowym centrum. Odślania ono swoją przeszłość niezmaconą wojną czy komunizmem. Widać w nim ciągłość i zgodną przemianę pokoleń. Jest więc późnogotyckie podwórze domu mieszczącego dziś zakład kapeluszniczy Haas Hüte. Są renesansowe kamienice, które starają się maskować wiek pod pastelowymi tynkami, ale zdradzają się typową dla epoki formą kamiennych ościeży. Są i barokowe fasady domów, które spoglądają na ulice mnogością okien, choć każde z nich oznaczało dotkliwy podatek dla właściciela. Było na bogato!



PASIASTA CHLUBA

Po przejściu przez sześćdziesiąt stanowisk w manufakturze bloki gliny zmieniają się w chlubę Gmunden: śnieżnobiałą ceramikę. Część naczyń ozdabia klasyczne, zielone paski.

Wreszcie nowoczesność, która wpasowała się bardzo dyskretnie w historyczną tkanę, tak jak najstarsza linia tramwajowa w kraju, obsługiwana przez pocziwe wagony z lat 60. Miejscami tak stroma, że maszynista na pewno odruchowo wciąga brzuch. Warto też pomyszkować we wnętrzach drobnych galerijek, które kryją na zapleczu ciekawe wystawy i zejścia do starych piwnic. Zajrzeć za bramy oraz w urokliwe zaułki.

SPACER PO EPOKACH

Niezwykle spokojna starówka oferuje kompaktowy spacer przez epoki: od średniowiecznych podwórz do nowoczesnych galerijek.

FOT. TOMASZ OWSIANY



KUPA SZTUKI

Niezwykła kolekcja toalet, pisuarów, nocników i bidetów wystawiona w miejskim muzeum. Choć artyści sztuki użytkowej wiedzieli, co czeka ich dzieła, zdobili muszle klozetowe z wielką finezją.

Bogactwu płynącemu z wydobycia „białego złota” zawdzięcza swój rozkwit także tradycja wyrobu ceramiki, dzisiejsza chluba Gmunden. Ponoć w każdym austriackim domu znajdzie się naczynia z cechem tutejszej manufaktury. Ceramicznie bije też serce miasteczka – karylion z glinianych dzwonów. Na każdym kroku coś pobłyskuje szkliwem. Ławki w parku Franciszka Józefa i przy kamiennym moście. Glazurowane szyldy zapraszające do piekarni. Dwumetrowa Madonna w kościele farnym rozkładająca nad miastem ochronny płaszcz.



FOT. TOMASZ ONSIAŃSKI



FOT. TOMASZ ONSIAŃSKI

A w jaki sposób kleista ziemia zmienia się w barwne przedmioty? Najlepiej przekonać się w manufakturze, która z dumą kontynuuje pięćsetletnią tradycję. Za niewielką opłatą można przyjrzeć się niektórym etapom produkcji: pieczołowitemu usuwaniu śladów po odlewach, glazurowaniu i najciekawszej części, czyli ręcznemu malowaniu.

Technika nanoszenia najbardziej klasycznego wzoru pozostała zasadniczo niezmieniona od pokoleń: na brzegu płaskich powierzchni trzeba nakreślić strużką pigmentu koncentryczne półokręgi. Potrzeba dużo praktyki, żeby nie kreślić kulfonów! W ten sam sposób na obłych przedmiotach powstają równoległe paski – drugi klasyk. Kolorowe

linie wymalowane wprawną ręką urywają się, tworzą malownicze dzióbki i zgrubienia. Każde zdobienie jest unikalne i atrakcyjnie niedoskonałe. Na dodatkowych warsztatach można wypróbować pełną paletę kolorów, pędzli i stempli; stworzyć własny projekt, a dzieło *in spe* dać do wypalenia i doręczenia pocztą.

Z ceramiką związana jest również bodaj najbardziej oryginalna ekspozycja w całym regionie. Znajdziemy ją w muzeum w zabytkowym Kammerhofie, dawniej siedzibie solnego zarządcy. A mowa o pokaźnej kolekcji... toalet. Od dworskich bidetów do ergonomicznych projektów sprzed kilku lat. Większość z czasów, kiedy przedmioty codziennego użytku miały walory małych dzieł sztuki. Niektóre z nich przynosiły ulgę wybitnym postaciom.

Na wystawie dowiemy się, że cesarzowa Sisi robiła sisi do kwiatnych muszli, a cesarz Franciszek Józef w myśliwskim szafasie defekował z godnością na przenośnym sedesie obitym skórą. Wagę zbiorów doceniło Japońskie Towarzystwo Toaletowe, które przyznając specjalną nagrodę, winszowało właścicielowi kolekcji „głębokiego zrozumienia wagi podnoszenia komfortu wydalania” oraz „wielkiego wkładu w sławienie postępu kultury toaletowej na świecie”. Tak oto nawiązała się nić przyjaźni gmundeńsko-japońskiej. Widocznie nie tylko przez żołądek do serca.

SERIALOWA SŁAWA

Ikona miasta pozostaje bezsprzecznie dwuczłonowy zamek Ort. Laury za całość zbiera przede wszystkim część nawodna, połączona z brzegiem 130-metrowym mostem. Zbudowana na mikroskopijnej wysepce, zdaje się wynurzać z toni jeziora. Budowla przeobrażała się parokrotnie od XI w., kiedy to powstała kapliczka św. Jakuba i wieża zamkowa, które stanowią dziś fragment zamkowego pierścienia. Ale średniowieczny duch już dawno wyparował. Dziedziniec wewnętrzny okalają piętrowe arkady sprzed czterystu lat. W pomieszczeniach mieści się małe muzeum tematyczne, a także replika sali tortur, w jakiej katowano biednych chłopów. Zwłaszcza po buncie w XVII w., kiedy chłopski żywioł spalił bliźniaczy Landschloss, drugi filar zamkowego kompleksu.



Na piętrze zachował się ciekawy system belek ułożonych w ceglanej podłodze, których stukot prowadził po ciemku gości w kierunku schodów. „Wodny zamek” prezentuje się jednak najatrakcyjniej z zewnątrz. Tkwiący spokojnie na tle skalistych szczytów i odbijający w wodzie po zmroku miękkie światło wieczornych latarni.

Przez lata zamek Ort był planem i wizytówką popularnego serialu „Schlosshotel Orth”, który gromadził przed telewizorami miliony niemieckojęzycznych widzów, a z czasem zrobił niespodziewaną furorę w Państwie Środka. Jak nasze „Majteczki w kropeczki”. Wycieczki z Chin zaczęły ściągać masowo, by przez wizjery aparatów obejrzeć znaną sylwetkę. Niektórzy gmundeńscy twierdzą, że to właśnie zachwyt budowlą na wodzie skłonił chińskiego inwestora do odtworzenia

ARKADY TELEWIZYJNE

Dziedziniec zamku Ort. Znany milionom widzów w Europie i Chinach oraz setkom nowożeńców, którzy brali ślub w zamkowej kaplicy. Kolejka do ołtarza dłuższa niż serial!

PANORAMA GRATIS

Szlaki prowadzące na Grünberg nie są wyzwaniem, ale nagradzają pięknymi widokami. Na szczycie można też wjechać kolejką gondolową, co jednak sporo kosztuje.

w prowincji Guangdong starówki pobliskiego miasteczka Hallstatt.

Nieopodal Landschlossu, pomnika architektury, w parku Toscana otaczającym neoklasycystyczną willę, stoją wspaniałe pomniki przyrody. Wśród starych lip, wiązów i rozłożystych dębów króluje kilkusetletni cyprys. Wiosną parkowa polana zmienia się w kwitnącą łąkę. Między gałęziami prześwitują wody jeziora, a nad rozśpiewanymi koronami drzew piętrzą się znajome szczyty. Przyroda, ona to potrafi!

głowie kapelusz z pędzelkiem, a na plecach kamizelki z ozdobnymi, metalowymi guzikami. Ciemnozielone jak aromatyczny olej z pestek dyni, którym pachnie tutejsza kuchnia.

Spod kapeluszy najczęściej wystają siwe włosy, ale młodsze pokolenie również chętnie nosi regionalny ubiór. Suknie *dirndl*, marynarki i pełen austriacki rynsztunek czekają w eleganckim sklepie po drugiej stronie rzeki, tuż za kamiennym mostem.

Co czwartek pojawia się też stoisko, obok którego trudno przejść obojętnie. Szklanymi



FOT. TOMASZ OWSIAŃSKI

MAŚĆ ZE ŚWISTAKA CO CZWARTEK

W czwartkowe poranki plac przed ratuszem zmienia się w gwarne jarmark. Wówczas mija się gmundeńczyków w tradycyjnych strojach, bo dzień targowy to dzień niemal świąteczny. Z wiklinowymi koszami spacerują między kramami, wśród smakowitych serów, sprężystych chlebów z żytniej mąki, lokalnych wędlin i ogromnej ilości kwiatów i ziół. Na co którejs

oczami łypią z niego wypchany świstak z borsukiem, pośród pudełeczek z maścią z ich sadła i górskich ziół. Na wszelkie bóle. Ale ilu futrzanych nieszczęśników trzeba poświęcić? – *Oj nieee, no przecież nie zabijalibyśmy ich na maść. Wyszukuje się dla nas padłe osobniki!* – wyjaśnił sympatyczny sprzedawca i pogładził wypchanego świstaka. Sam miał przy tym świstaczy wygląd i gryzoniową dykcję. Był zdecydowanie na swoim miejscu. Ale potem

znika i on, i jego maści. Plac pustoszeje, a ruch jak co dzień przenosi się na esplanadę. Zielone kamizelki i grube podkolanówki mieszają się z wytatuowanymi ramionami i sportowymi butami. Śmigają rolki, psy i rowery. Seniorzy grają w szachy figurami sięgającymi do pasa, a partię obserwuje grupka osób siedzących pod rozłożystym dębem – otoczonym sztuczną trawą, której nawet zimą nie trzeba malować na zielono.

JAZDA WSPOMAGANA

O tej porze roku zboczy Grünbergu też malować nie trzeba. Nie brakuje mu zieleni lasów ani bieli kwitnącego czosnku niedźwiedziego. Żółtych pełników ani goryczek rosnących wzdłuż ścieżki do urokliwego Laudachsee, drzemiącego u podnóża Kociej Skały. Droga do górskiego stawu jest bardzo łatwa, uczęszczana przez emerytów z psami i rodziców z wózkami. Jedni dostają się na górę nowiutką gondolą, inni wchodzi pieszo. I słusznie, bo wyjazd kolejką, jak na solne zagłębienie przystało, słono kosztuje, panorama miasta zaś roztacza się również ze ścieżek. Poza tym półtorej godziny marszu pozwala wstępnie spalić spore porcje mięsa i smaczne bułczane knedle podawane w schronisku.

Szlak z prawdziwego zdarzenia prowadzi natomiast na Traunstein. Patrząc na jego skaliste turnie, trudno uwierzyć, że ma raptem 1691 m n.p.m. Trasa z elementami ferraty wymaga skupienia nawet od doświadczonych górolazów i nie powinno się jej lekceważyć, o czym przypominają ponuro wypadki śmiertelne.

Wielbiciele rowerów górskich mają tu trasę po horyzont, tylko czy warto tracić jezioro z pola widzenia? Lepiej wgramolić się na okoliczne pagórki lub pokręcić po uliczkach malowniczego Altmünsteru. Zadanie to może ułatwić nowy wynalazek: elektrorower. Na tyle nowy, że raz po raz ktoś zatrzymuje i pyta o intrygujący patent. Mechanizm jest prosty: bateria wspomaga pedałowanie z siłą, jaką samemu się ustawi. Wysilek i tak będzie spory, a zasięg znacznie większy. Można nacieszyć się do woli zieloną przestrzenią i ciągami asfaltowych ścieżek prowadzących przez wzniesienia, partie lasu i wymuskane osiedla domków.



ERWIN PŁYWA JAK LOKOMOTYWA

Największe jezioro Austrii żyje własnym życiem. Łódki i żagłówki suną po jego tafli, a niewielkie promy łączą nadbrzeżne miejscowości. Królową floty jest Gisela, najstarszy działający austriacki parowiec, zbudowany w 1839 r. Wciąż raźnie kręci kołami. Wzdłuż dwunastokilometrowej osi jeziora można wynająć chyba wszystkie istniejące wodne środki transportu, ale dba się o równowagę akwenu. Skutery wodne dostały całkowity szlaban, w środku lata mogą pływać jedynie cichsze motorówki elektryczne. Ograniczono pozwolenia wędkarskie, a dzięki ekologicznej dyscyplinie w każdej chwili można zaczerpnąć wodę wprost z jeziora i pić. Tak przynajmniej robią tutejsi kajakarze i wiosłarze.

CERAMICZNE SERCE

W targowe czwartki i każdego innego dnia, o 10 rano, na gmundenkim ratuszu budzi się jedyny ceramiczny karylion w Austrii.

W łupince kajaku można w pełni poczuć jeziorną świeżość i spojrzeć na Gmunden z innej perspektywy. Zapuścić się w zieloną nitkę rzeki Traun i pod łabędzie gniazda w zatoczkach. Przy wysokim poziomie wody da się też podplłynąć pod mury zamku, którego wciąż pilnują sterczące z dna pale, broniące niegdyś dostępu do wysepki.

Jeśli ktoś szuka dodatkowego wysiłku i lubi wziąć sprawy we własne ręce, powinien zmierzyć się z tradycyjną płaskodenną łodzią *plätte*. Jedenaście kilometrów od Gmunden, w maleńkiej miejscowości Traunkirchen, jest po temu okazja. Do przystani najlepiej zajrzeć popołudniem, kiedy zatknięty na skalnej skarpie XIV-wieczny kościółek tonie w ciepłym świetle. O lekcję wiosłowania zadba właściciel łodzi, Erwin. I on, i łódź mają wyraźny charakter. Zadanie niby łatwe: stanąć prosto, lekko się pochylić i zataczać krótkie elipsy piórem masywnego wiosła przełożonego przez pętlę z grubego sznura. Tyle że drewniany drąg suwa się wte i wewte i utrudnia współpracę.

– *Jak lokomotywa!* – radzi Erwin. – *Ręka ma chodzić jak koło zamachowe!* Jak mu się to udaje ot tak? I to nierzadko na wzburzonym jeziorze z ciężkim ładunkiem? Ponoć trochę pomaga piwo. Bo co prawda Erwin też popija wodę zza burty, ale – jak mówi – piwo lepsze. Po dwugodzinnym treningu dziób łodzi

powinien w końcu trzymać obrany kierunek, ale po godzinie nauki... no cóż. A jeśli ktoś twierdzi, że dałby radę, proszę bardzo! Erwin i jego *plätte* czekają.

Przy odpowiednim budzecie można obserwować panoramę Gmunden ze znakomitej restauracji Boothaus, dwa kroki od przystani. Dobrych knajpek serwujących austriackie klasyki i potrawy z jeziornych ryb jest w okolicy wiele. Tutaj jednak dostaniemy wyjątkowo finezyjne dania, zaprezentowane tak pięknie, że wbijając widelec, człowiek czuje się jak wandal.

Oprócz harmonijnego wypoczynku Gmunden daje coś jeszcze: dobry przykład. Przykład tego, jak pięknie może wyglądać przestrzeń publiczna trzymana w odpowiednich ryzach. Jak wiele znaczy konsekwentna architektura. Ulice wolne od reklam, znaków i wyklejanych szyb. Jest spójnie i przejrzyste, ludzie trafiają, gdzie trzeba, a firmy nie plajtują. Owszem, można się zastanawiać, czy bulwar, przy którym każdy kasztanowiec ma tabliczkę z numerkiem, mieści się w granicach normalności. Może z czasem człowiek dla higieny psychicznej zacząłby rozglądać się za psią kupą na chodniku. Estetyczny rygor zdaje się jednak nie usztywniać mieszkańców. Ludzie są weseli, serdeczni – przynajmniej z niepełnej, kilkudniowej perspektywy gościa. Na krótką metę powinno tu być dobrze każdemu. ○



Tomasz Owsiany

Absolwent filologii romańskiej UJ, miłośnik przyrody i przeciwnik masowej turystyki. Autor książki „Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie” wydanej w serii „Biblioteka Poznaj Świat”. Laureat Nagrody Dziennikarzy oraz Wyróżnienia Kolosów (za rok 2015 za wyprawę „Pod ciemną skórą Filipin”).



ERWIN NIEUGIĘTY

Erwin stanął prosto jak wieża kościółka w Traunkirchen za jego plecami. Ale żeby wiosłować *plätte*, trzeba się lekko pochylić. Sterowanie tą płaskodenną łodzią to trudna sztuka.



ZA NAMI:



TRIADA ZIMOWA 2017

ETAPOWO LUB SOLO

W weekend 21-22 stycznia biegacze górcy zmagali się z warunkami zimowymi na trasach o dystansach 11 km, 22 km i 33 km. Mogli wystartować w pojedynczym biegu, albo połączyć je w „triadę”. Każdy z biegów odbywał się w innym paśmie górskim: w Pieninach, w Gorcach i w Beskidzie Sądeckim.

Zapraszamy na kolejne edycje: Triadę letnią w podobnej formule jak zimowa oraz Triadę week, dającą możliwość zaliczenia **7 biegów w 7 dni!** Od początku zmagania etapowe wspiera Regatta w ramach programu Regatta RUSZ SIĘ!

ZAPOWIEDZI

ZIMOWY ULTRAMARATON KARKONOSKI ULTRA ZIMA W KARKONOSZACH



Zima. Silny wiatr, śnieg po kolana, lodowa pustynia. To wszystko może spotkać zawodników biegnących 52 km grzbietem Karkonoszy. Zawodnicy wyruszą z Polany Jakuszyckiej, w ekstremalnych, zimowych warunkach wbiegną na Szrenicę, przebiegną przez Śnieżne Kotły i Przełęcz Karkonoską, by wbiec na szczyt Śnieżki, skąd ruszą dalej w kierunku Przełęczy Okraj. Meta zawodów ulokowana jest na deptaku w Karpaczu. Zimowy Ultramaraton Karkonoski to bieg im. Tomka Kowalskiego, który sam był ultramaratończykiem, zapalonym sportowcem, alpinistą. W nich trenował, wspinał się, tam został na zawsze (zmarł na Broad Peak w Karakorum). Impreza odbywa się w ramach programu Regatta RUSZ SIĘ!

KOŁOSY PRZYGODA, EKSPLORACJA, WYCZYN



Tej imprezy przedstawiać nikomu nie trzeba. 10-12 marca 2017r. podróżnicy zjadą do Gdyni, by kilka dni poświęcić na oglądanie prelekcji i występów. Spotkamy tu wszystkich, którzy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy realizowali najciekawsze przedsięwzięcia eksploracyjne. Oprócz tego w programie znajdują się warsztaty, premiery książek i spotkania z ich autorami, salon mediów podróżniczych, wystawa FotoGlob i salon sprzętu outdoorowego. Ze swoim stoiskiem będzie też Regatta, srebrny partner imprezy.

WIĘCEJ INFORMACJI O IMPREZACH NA **RUSZSIE.ORG**

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO



GDYŃSKIE
WARSZTATY PODRÓŻNICZE
WYJŹDZ W ŚWIAT

SPOTKANIA Z AMERYKAMI

Miasto Gdynia oraz Hufiec ZHP Gdynia zapraszają na kolejną edycję Gdynskich Warsztatów Podróżniczych „Wyjźdź w Świat”. To cykliczne spotkania z ludźmi przygody: podróżnikami, reporterami, alpinistami, żeglarzami, organizowane od 2011 r. Spotkania nie mają jednej formuły – czasami są poświęcone w całości zagadnieniom praktycznym, jak np. zdrowie i bezpieczeństwo w podróży, medycyna wysokogórska, fotografia podróżnicza, etyka w podróży czy szukanie tanich lotów. Inne mają charakter slajdowisk połączonych z przedstawieniem przez prelegenta praktycznych wskazówek dotyczących podróżowania po prezentowanym kraju lub regionie. Do tej pory Karina i Marcin Stencloowie zorganizowali ponad 80 spotkań. 3 marca zapraszają do Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego na spotkanie z Anitą Demianowicz, która zabierze gości do swojej ukochanej Ameryki Środkowej. 17 marca Piotr Opacian – laureat „Kolosza” za spływ rzeką Madidi w 2006 r. – opowie o swoich wyprawach kajakowych po Ameryce Południowej.

POLACY Z WYBORU

CANAL+
Discovery

Japonka, która uczy robić sushi w polskich górach? Nowozelandczyk, który założył lokalną gazetę kaszubską? Dlaczego nie? W Polsce mieszka 250 tys. obcokrajowców. Powodów, dla których się tu znaleźli, jest wiele. Praca, miłość, czasem po prostu przypadek. Każdy ma prawo stałego pobytu, wielu osiągnęło zawodowy sukces. Co ich bawi? Co zaskakuje? Za co lubią nasz kraj, a czego im brakuje? Jak sobie radzą z nauką jednego z najtrudniejszych języków świata? Te i inne pytania zada mieszkającym w Polsce cudzoziemcom Paulina Młynarska w programie „Polacy z Wyboru”.



Wśród bohaterów znajdują się m.in.: Stefano Terrazzino, Mamed Khalidov oraz Bilguun Ariumbaator, a także osoby nieznane z pierwszych stron gazet czy ekranów. Jak Akiko Miwa – Japonka, która szukając swojego miejsca na ziemi osiedliła się pod Nowym Targiem. Otworzyła tam pensjonat i zapoznaje gości z japońską kulturą. Widzowie poznają też Samira Zeair – transplantologa, ordynatora szpitala i... restauratora.

Program będzie emitowany w każdy czwartek o 21:00 w CANAL+ DISCOVERY. Premiera 2 marca.

POLACY OŚWIETLILI SZKOŁY W ETIOPII

Ponad 100 szkół, do których uczęszcza nawet 35 tys. dzieci, oświecili wolontariusze z fundacji Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej. Do tej pory nie było możliwe prowadzenie zajęć w szkołach po zachodzie słońca, czyli po 18. W 2016 r. fundacja zainstalowała systemy słoneczne w 103 szkołach podstawowych w południowej części Etiopii. Dzięki panelom 350 dzieci w każdym z miejsc może poświęcić czas na naukę również wieczorami. Regiony, w których wolontariusze zainstalowali systemy słoneczne, mają charakter pasterski lub półpasterski. Dzieci pomagają przy wypasie bydła, a po zakończeniu pracy w gospodarstwie jest już ciemno. Uzupełnieniem działań PCPM była organizacja szkoleń z obsługi i konserwacji zainstalowanych



paneli, a także prowadzenia bibliotek szkolnych i metod skutecznego nauczania. Wzięło w nich udział ponad 300 nauczycieli, dyrektorów szkół i członków rad rodziców. Więcej: www.pcpm.org.pl

NA STYKU KULTUR



W dniach 17–19 marca w hali Expo-Łódź odbędą się XXIII Targi – Regiony Turystyczne „Na styku kultur”. Tegoroczna edycja odbywa się pod hasłem „Daj się urzec!”, a regionem partnerskim jest Mazowsze, miastem zaś – Piotrków Trybunalski. Na stoiskach czeka wiele atrakcji: fotobudka, warsztaty ceramiczne, degustacje potraw regionalnych czy lokalne zespoły jak Mazowsze. Podczas targów będą funkcjonować 3 strefy: Mocnych Wrażeń, All Inclusive oraz Ekopodróżnika, gdzie zostaną zaprezentowane oferty przedstawicieli hoteli, biur podróży, regionów zagranicznych, przedsiębiorstw związanych z ekopodróżami oraz turystyką aktywną. Organizatorzy zadbali również o najmłodszych, zapewnią im szereg atrakcji: dmuchany zamek, konkursy z nagrodami czy pokazy tańca i warsztaty plastyczne. Wydarzenia branżowe, takie jak szkolenie dla biur podróży czy dyskusja o ekoturystyce, to tylko uzupełnienie oferty dla turystów indywidualnych. Spotkania z podróżnikami, którzy służą swoim doświadczeniem, z pewnością zainspirują niejedną osobę.

Szlakiem cerkwi z Tokiną

Tokina (wraz z projektem fotowarsztaty.com) zapraszają w weekend 10–12 marca na plener fotograficzny w Bieszczadach. Na czas zajęć będzie można bezpłatnie wypożyczyć obiektywy marki Tokina. Jedne z najlepszych warunków na plener architektoniczno-cerkiewny oferuje zima: gdy pozbawione liści drzewa nie przeszkadzają uchwycić niepowtarzalnego kadru, a swoją surowością wręcz wprowadzają dodatkowy klimat. W warsztatach nacisk jest położony na urzekające piękno drewnianej architektury cerkiewnej. Gościem warsztatów będzie Bogdan Augustyn, pseudonim artystyczny „Bohun”, pomysłodawca, założyciel i pierwszy wokalista KSU, z wykształcenia i zamiłowania historyk. W jak zwykle wciągający sposób będzie opowiadał o kulturze Karpat i zawiłościach losów ludzi zamieszkujących Bieszczady z przyległościami.

www.fotowarsztaty.com





CZAS NA KOŁOSY!

Marzec to chyba najważniejszy miesiąc dla wszystkich podróżników i pasjonatów podróży. Od kilkunastu lat Gdynia staje się wtedy stolicą przygody. W tym roku miasto wraz z organizatorami zaprasza już po raz 19. na największą w Polsce i w Europie imprezę podróżniczą – Kolosy, którą odwiedza ponad 20 tys. osób. Jak co roku goście festiwalu mogą się spodziewać dziesiątek opowieści o wyprawach po całym świecie, pokazów zdjęć oraz prelekcji. Jak zawsze będzie też okazja do zakupów sprzętu turystycznego oraz najlepszej literatury podróżniczej.

Wiadomo już, że na scenie wystąpią m.in. Krzysztof Starnawski, który po blisko dwudziestu latach niestrudzonej eksploracji

udowodnił, że najgłębszą podwodną jaskinią świata jest „jego” Hranická propast. O nieco wyżej położonych terenach opowie Małgorzata Wojtaczka, która jest jako pierwsza Polka i jedna niewielu kobiet na świecie zdobyła biegun południowy. Natomiast Dominik Szmajdą zabierze słuchaczy w głąb kongijskiej dżungli i pokaże, jak mierzył się z własnymi słabościami i dzięki przyrodą. A z Szymonem Kuczyńskim będzie można opłynąć Ziemię na najmniejszym polskim jachcie, jaki tego dokonał. Nie zabraknie również takich gości, jak Aleksander Doba, Ryszard Pawłowski, Janusz Majer oraz Marek Kamiński. Super Kolosa otrzymają Janusz i Joelle Kurbiel. Janusz odszedł na wieczną wachtę, ale z Francji przyleci Joelle.

Warto wspomnieć o nowym granicy, który zostanie wręczony obok nagrody im. Andrzeja Zawady – przyznawanej od 15 lat na realizację najciekawszego w danym roku projektu podróżniczego zgłoszonego przez osoby, które nie przekroczyły 35. roku życia. W tym roku prezydent Gdyni wesprze również podróżników seniorów. Od teraz o nową nagrodę, „Wiecznie młodzi”, i 15 tys. zł na realizację wyprawy mogą się ubiegać kandydaci, którzy ukończyli 65 lat i przedstawiają ambitny pomysł na „podróż trzeciego wieku”. Finał poprowadzą Kinga Baranowska i Tomek Michniewicz. Do zobaczenia w Gdyni w dniach 10–12 marca.



OPOLE ZWIEDZI ŚWIAT

Opole po raz trzeci wyrusza w podróż dookoła świata. W tym roku będzie wędrować żukiem, rowerem i ładą, przejedzie się całym globie z nowożeńcami, ale zobaczy też, jak może wyglądać tak długa wyprawa z dziećmi. Dowie się, czy Bliski Wschód jest straszny, zajrzy w głąb siebie, ucząc się azjatyckiej duchowości, obejrzy wystawy zdjęć m.in. z Papui-Nowej Gwinei, a podczas

warsztatów fotograficznych nauczy się przywozić nie tylko pamiątkowe obrazki, ale i pełne emocji fotografie. Nie zabraknie zapadających w pamięć niszowych filmów dokumentalnych, a także występów muzycznych m.in. grupy marokańskich muzyków. Oprócz tego będzie wiele okazji do wygrania nagród w konkursach i quizach. Opolski



Festiwal Podróżniczy odbędzie się w dniach 20–26 marca w Studenckim Centrum Kultury, Szarej Willi i Filii nr 4 Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu. Więcej na facebook.com/ofpopole



SALZBURGER
LAND

BIAŁE SZALEŃSTWO







O KWA, JAK PIĘKNIE!
Rodzina kaczek nad
jeziorem Trillium
podziwia górę Hood.
Nawet zwierzęta nie
mogą oderwać wzroku.



W STANIE NATURALNYM

Dawid Bystry

Oregon to miejsce dla tych, którzy chcą na niewielkiej przestrzeni odbyć wiele podróży podczas jednej. Stan ma powierzchnię 255 tys. km², co czyni go dziewiątym co do wielkości obszarem federacji USA. Terytorium niewielkie, biorąc pod uwagę fakt, że można tu doświadczyć wszystkiego, czego zapragnie dusza obłączyświata.

Tym bardziej zaskakuje aż tak duża niejednorodność obszaru. Nie dziwiłaby ona w stanach wielkości Kalifornii, Teksasu czy Alaski, ale w Oregonie? Różnorodność form natury wynika z położenia stanu oraz topografii terenu. Sąsiaduje on od południa z pustynnymi Kalifornią oraz Nevadą, od wschodu – z równie suchym Idaho, a od północy – z pochmurnym i deszczowym Waszyngtonem. Zachód Oregonu na całej długości skąpany jest w grzmącym i potężnym Pacyfiku.



STEP ZWANY PUSTYNIĄ

High Desert we wschodniej części stanu zajmuje dużą jego część. W przeciwieństwie do nazwy większość obszaru nie jest na tyle sucha, aby nazwać go pustynią. Biologicznie są to stepy.

OD GĘSTWINY DO PUSTYNI

Sąsiedztwo Oceanu Spokojnego powoduje, że wilgotność powietrza na wybrzeżu sięga aż 80 proc., przez co wytworzyły się doskonałe warunki dla wzrostu najwyższych drzew na świecie – sekwoi wieczniezielonych. I choć rekordzistka, mająca ponad 115 m wysokości, znajduje się w Redwood National Park w Północnej Kalifornii, Oregon ma równie wyśmienite warunki dla tych majestatycznych i monumentalnych pomników przyrody. Większość sekwoi pamięta czasy Wielkiej Karty Swobód oraz odkrycie Ameryki przez Kolumba. Najbardziej leciwe mogłyby być świadkami narodzin Chrystusa.

Dlaczego właśnie tutaj sekwoje osiągają takie rozmiary? Wszystko za sprawą równoleżnikowego ruchu powietrza znad Oceanu. Systematyczne naloty miliardów cząsteczek wody są wywołane dużą różnicą temperatur między rozgrzanym lądem a chłodniejszym Pacyfikiem (stosunkowo niedaleko stąd znajduje się najgorętsze miejsce na świecie – Dolina Śmierci). Masy powietrza nacierają z zachodu na wschód. Codzienny mleczny spektakl występuje w pasie o szerokości do 50 km wzdłuż

linii brzegowej. Najdalej też w takiej odległości od oceanu występują sekwoje.

Gorące powietrze unosi się i zwalnia miejsce ciężkiemu i wilgotnemu znad Pacyfiku. Nielubiąca pustki natura pcha mleczną bryzę w głąb lądu. Równomiernie rozproszone w powietrzu związki wodoru i tlenu zraszają powierzchnię ziemi i przynoszą życiodajną wodę. Permanentna mgła skutkuje także ograniczeniem widoczności oraz zachmurzeniem. Niektóre miasta, jak np. Astoria przy granicy z Waszyngtonem, tuż nad Oceanem Spokojnym, czy Eugene, znajdujące się już wewnątrz stanu, mają odpowiednio średnio 50 i 75 dni słonecznych w roku. Zbyt mało, żeby udobruchać „pochmurnych” mieszkańców.

Wędrówka mas powietrza kończy się na łańcuchach Gór Nadbrzeżnych oraz Kaskadowych. Oba masywy spinają północ z południem stanu. Wypiętrzone południkowo zapory dzielą Oregon na dwie części: zieloną i obficie nawodnioną oraz suchą i bardziej monotonną, zajmującą czwartą część stanu – pustynię.

Im bardziej na wschód, tym mniej pochmurnego nieba oraz mniej wody. Kontynentalny

klimat przejawia się mniejszą wilgotnością powietrza. Gęstwina roślin, charakterystyczna dla zachodnich kresów stanu, w tej części Oregonu ma postać szczątkową. Na horyzoncie skały odsłaniają różnokształtne sylwetki. Rdzawopiaszkowe połacie łąd przyozdobione są gdzieniegdzie sukulentami, poprzątkane kępami traw. Na horyzoncie niebo wyraźnie odcina się od spierzchniętej ziemi. Terytorium przybiera zupełnie inne oblicze – bardziej surowe i mniej przyjazne dla człowieka.

CUD W KRATERZE

Wspomniane Góry Kaskadowe, które przyczyniają się do pustynnienia wschodniego obszaru Oregonu, skrywają jedno z piękniejszych zjawisk natury w tej części świata – Crater Lake. Naturalny rezerwuuar w kalderze stratowulkanu Mazama, pretendujący do miana jednego z siedmiu cudów natury. Jezioro Kraterowe powstało w wyniku potężnej erupcji magmy oraz materiałów piroklastycznych, na skutek której stożek wulkaniczny zapadł się i utworzył naturalną nieckę. Wypełniła ją krystalicznie czysta woda.

Crater Lake jest najgłębszym jeziorem w Stanach Zjednoczonych i jednym z najczystszych na świecie. Brak dopływów w postaci rzek powoduje, że jest ono zasilane wyłącznie opadami oraz wodą z topniejących śniegów. Pozwala to utrzymać nieskazitelną czystość zbiornika. Woda mieni się tutaj najgłębszymi odcieniami błękitu oraz najbardziej szmaragdową zielenią. Spektakl barw ogląda się z brzegów wygasłego wulkanu. Podobnie jak w teatrze greckim, gdzie widzowie z *theatronu* spoglądali na *orchestrę* położoną w dole, z tą różnicą, że tutaj aktorem jest przyroda.

Rozległe lasy, liczne uroczyska oraz górskie, mało gościnne przestrzenie Oregonu zapewniają wspaniałe bogactwo fauny. Wrodzona ciekawość i miłość do natury nie pozwala przejść obojętnie obok obfitości ryb w rwących

rzekach, niedźwiedzi śpiących w barłogach, czy też szopów kłębiących się w zaroślach. Przy odrobinie cierpliwości spotkamy tutaj każde z tych zwierząt. Mieszkańcy stanu są zapalonymi wędkarzami. Często ich zwyczajem jest łowienie ryb o brzasku i jedzenie tuż przed pracą śniadania w plenerze, przyrządzonego (a jakże!) ze świeżo złowionych okazów. Rzeki tutaj są tak czyste, że grzechem byłoby nie zarzucić wędki. Tym bardziej, że pływają w nich łososie – jeden z symboli Oregonu.

IM DALEJ W LAS

Cechą ludzkiej natury jest otaczanie wciąż zjawisk, rzeczy, zwierząt, którym zawdzięczamy wiele lub przed którymi czujemy respekt. I tak Beduini składają hołd wielbłodom, w Amazonii oddają cześć jaguarowi, na Alasce hołubi się zaprzęgi maszerskie. A w Oregonie? Tu szczególnie szacunkiem otacza się drzewa.

Około połowę powierzchni stanu po-

WYSPA CZARODZIEJÓW

Tak nazywany jest stożek wulkaniczny na Crater Lake. Położenie jeziora w niecce sprzyja stałej temperaturze wody, która wynosi ok. 13°C. Znany jest tylko jeden przypadek zamarznięcia jeziora.



krywają lasy. Czy to dużo? Biorąc pod uwagę współczynnik zalesienia na świecie (30 proc.) – sporo. Dla porównania w Polsce lasy zajmują powierzchnię 29 proc. Oregon plasuje się na pierwszym miejscu pod względem pozyskiwania drewna w Stanach Zjednoczonych.

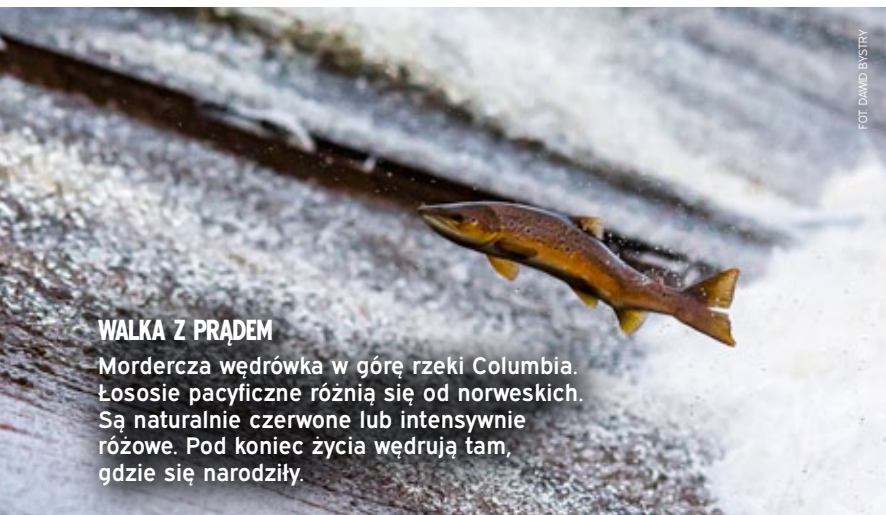


FOT. SHUTTERSTOCK

Leśnictwo jest najważniejszą gałęzią miejscowej gospodarki. Zielona jodła na tablicach rejestracyjnych Oregonu jest potwierdzeniem doniosłej roli, jaką lasy odgrywają w życiu człowieka. Wciąż powszechnym zawodem jest drwal pilarz, obecnie profesja mniej oblegana ze względu na dużą mechanizację.

Rozległe lasy to też rozległe pożary. W suche lata wybuchają kilkutygodniowe pożogi, które spowijają doliny górskie duszącym dymem. W takie dni zaleca się niewychodzenie z domu, a jeśli to konieczne, trzeba zaopatrzyć się w maskę, aby nie podrażnić dróg oddechowych. Przy niekorzystnym wietrze kłęby dymu wpchane są w najniższe położone obszary. Ze względu na stosunkowo dużą ilość pożarów także zawód strażaka jest tutaj popularny.

Biscuit Fire – jeden z większych pożarów w historii stanu – pochłonął w 2002 r. prawie 2 tys. km² lasów nieopodal miasta Grants Pass. Mimo że wydarzył się kilkanaście lat temu, na zboczach górskich wyraźnie jeszcze widać opalone kikuty drzew.



FOT. DAVID BINSTAD

WALKA Z PRĄDEM

Mordercza wędrówka w górę rzeki Columbia. Łososie pacyficzne różnią się od norweskich. Są naturalnie czerwone lub intensywnie różowe. Pod koniec życia wędrują tam, gdzie się narodziły.

BURGUNDIA AMERYKI

Oregon nie tylko lasem stoi. Zadomowiła się tutaj na dobre kultura wytwarzania wina rodem z Europy. Jak się okazuje, na świecie są dwie (co najmniej) Burgundie: ta właściwa



FOT. DAVID BYSTRY

w centralnej Francji oraz Burgundia Ameryki – Oregon. Nazwany tak przez kiperów, stan zawdzięcza swój przydomek znakomicie rozwiniętemu winiarstwu, choć i browarnictwo stoi tutaj na bardzo wysokim poziomie.

Obie Burgundie leżą na podobnej szerokości geograficznej – okolice 45. równoleżnika. Mimo tego ich klimaty różnią się od siebie. Oregon jest zimniejszy. W zasadzie to jeden z chłodniejszych obszarów na świecie, na którym zakłada się na taką skalę winne apelacje. Tutejsi plantatorzy borykają się z nie tak dobrym nasłonecznieniem jak we Francji, wiosennymi i jesiennymi przymrozkami, krótszym okresem wegetacyjnym, chłodnymi latami i mokrymi jesieniami. Czas, w którym winogrono powinno dojrzeć, jest krótszy niż przeciętnie. Ale gleba niczego sobie – bazaltowe podłoże pochodzenia wulkanicznego. Bogate w surowce mineralne, żyzne i płodne. Winnice ciągną się od Kalifornii po Waszyngton wzdłuż Gór Kaskadowych (najwięcej apelacji w dolinie Willamette) oraz na północnych rubieżach stanu.

Wina produkowane w Oregonie słyną ze swojej barwy, szlachetnego i głębokiego smaku oraz aromatyczności. Ich jakość zależy od tego, czy grona zdążą dojrzeć przed deszczową jesienią. Koneserzy to się w nich zakochują, to odkochują. Zależy od rocznika. Najbardziej popularnym szczepem jest pinot noir. Również najbardziej chronionym przez prawo stanowe. Aby nosić plaketkę pinot noir, wino musi być czystym, 100-procentowym pinotem, bez żadnych domieszek. Popularne są także chardonnay, merlot, pinot gris, cabernet-sauvignon czy riesling. W Oregonie co roku odbywa się Międzynarodowe Święto Pinot Noir – jedno z największych świąt wina w USA.

GDY MINIE GORĄCZKA

Aż trudno pomyśleć, że ten uroczy i przepiękny zakątek ziemi nie cieszył się dużą popularnością wśród kolonizatorów. Oregon był mało atrakcyjnym miejscem do zamieszkania. Oddalony o kilka tysięcy kilometrów

MIĘDZY OLBRZYMAMI

Wijąca się między sekwojami droga Redwood Highway prowadzi z Oregonu do Kalifornii. Drzewa rosną tak blisko pobocza, że można ich dotknąć ręką wystawioną z auta.

od wschodniego wybrzeża, słabo skomunikowany, nieodkryty, nieznany. Dopiero gdy gruchnęła wieść o znalezieniu złota w sąsiedniej Kalifornii, głodni wrażeń poszukiwacze skarbów zaczęli zjeżdżać w te strony. W tym samym czasie w mieście Jacksonville, kilkadziesiąt kilometrów od granic Kalifornii, również odkryto złoto. Było to jedno

niepowtarzalne domy zachwycają elegancją i prostotą, mimo secesyjnych naleciałości. Większość budynków jest opatrzona tabliczką z datą ich powstania. Duża część budowli jest wykonana z drewna, za wyjątkiem centrum miasta, kościoła i kilku gmachów przy głównej ulicy. Nawet urząd miasta i posterunek policji mieszczą się w drewnianych budynkach.



FOT. SHUTTERSTOCK

WSPINACZKA OCEANICZNA
Pacyfik w okolicach Brookings. Wybrzeże oceanu w Oregonie wyróżniają gęsto rozsiane głazy wystające z wody. Ptakom dają odpoczynek i schronienie, ludziom rzucają wyzwanie do wspinaczki.

z pierwszych miejsc na terenie Oregonu, które wpadło w szaleńczy wir kopania, przesypywania, płukania, zrywania ziemi. Dla złota. Dla bogactwa. Dla chwały.

Ośrodek rozwijał się prężnie głównie w II połowie XIX w., aż do wyeksploatowania zasobów złota. Jacksonville było centrum finansowym południowego Oregonu. Obecnie to spokojne miejsce, ale wspomnienia o gorączce złota są wciąż żywe. Przy odrobinie szczęścia, gdzieś na obrzeżach miasta, można spotkać poszukiwaczy z sitem, wykonujących energiczne i zamaszyste ruchy kołowe. Wciąż wierzą, że nie całe złoto zostało wydobyte.

Dla Amerykanów miasto Jacksonville jest dziedzictwem kultury. Pięknie zachowane,

Miejsce z charakterem, urokliwie, otoczone pagórkami. Zaraża spokojem. Ludzie też jakby inni – bardziej otwarci i mili. W okolicy silnie rozwinęło się szkolnictwo alternatywne w postaci szkół waldorfskich.

ZGODA Z PRZYRODĄ

Pierwsi mieszkańcy Oregonu? Oczywiście Indianie. Oni byli pierwszymi dziećmi lasów. Biały człowiek wtargnął na ich tereny, podbił, zamknął w obozach, zdziesiątkował, wykupił od nich ziemie za bezcen i doprowadził kulturę Indian do zagłady.

Niegdyś obecne tereny stanu zamieszkiwały m.in. plemiona Nez Perce, Umpqua,

Siskiyou, Chinook, Klamath, Bannock. Studiując mapę Oregonu, z łatwością odgadniemy, gdzie znajdowały się ich pierwotne siedliska: plemię Umpqua – Umpqua National Forest (na północny zachód od Jeziora Kraterowego), Klamath – okolice miasta Klamath Falls, Siskiyou – Rogue River – Siskiyou National Forest (południe Oregonu). Zmierzch cywili-

lasy, na których swoje piętno odcisnął, nie tak słodki jak jego nazwa, Biscuit Fire.

To, co najbardziej pociągające w Oregonie, stanowi zarazem jego najcenniejszą wartość. Natura. W dużym stopniu dzika i nieodkryta. A nawet jeżeli już nie dzika i odkryta, to majestatyczna. I nie chodzi o pocztówkowe zdjęcia Mount Hood, Crater Lake czy ujście rzeki

DREWNIAŃY MOSTECZEK UGINA SIĘ

Swinging Bridge, rozwieszony nad rzeką Illinois, był dawniej miejscem, w którym Indianie Siskiyou przekraczali rzekę suchą stopą. W tle pozostałości po pożarze Biscuit Fire.



zacji Indian nastąpił w połowie XIX w., a więc niespełna pięć pokoleń temu. Pamięć o tej kulturze jest wciąż żywa. Jeszcze nie milkną echa bitwy pod Wounded Knee.

W mniej popularnych i bardziej niedostępnych obszarach można natrafić na pozostałości indiańskich siedlisk. Jedno z takich miejsc, Swinging Bridge, znajduje się na terenie Rogue River – Siskiyou National Forest. Dawne siedlisko Indian z plemienia Siskiyou. Jak sama nazwa wskazuje, Swinging Bridge to bujający się most, rozwieszony nad piękną doliną rzeki Illinois. Zrobiony jest z drewnianych kłapek i stalowych lin. Można się po nim przespacerować. Ale trochę nas pobuja. Wokół roztacza się wspaniały widok na rozległe

Columbia z surferami szalejącymi na falach. Chodzi o miejsca niesztampowe. Natural Bridge – most z zastygłej lawy na Rogue River, przez który dawniej przepawali się Indianie. Hellgate – zwężenie w dolnym odcinku rzeki, gdzie wody na wiosnę tłoczą się w wąskim gardle, grzmia i ryczą, przybierają formę sinobiałych bałwanów. Lake of the Woods – jezioro wyłaniające się z lasów, otoczone wysokimi oregońskimi jodłami odbijającymi się w błękitnej wodzie. Miasto Ashland z pięknym teatrem elżbietańskim i hipisowską kulturą nie do podrobienia.

W każdym miejscu na świecie można odkryć piękno. W Oregonie jest to po prostu łatwiejsze. ○



David Bystry

Ukończył studia prawnicze i ekonomiczne. Miłośnik natury, zwierząt i ludzi. Ceni podróże nie tylko w czasie i przestrzeni, ale także w głąb ludzkiej duszy.



KUP SOBIE RAJ

Choć na okładce miesięcznika *Poznaj Świat* już marzec, polska wiosna przypomina chińską podróbkę. Ciemno, zimno, a Wielkanoc ma większe szanse na status białych świąt niż Gwiazdka. Nie wytrzymam już ani dnia dłużej bez słońca. Dlatego je sobie kupię.

Poddaję się i robię, co każe mi syreni śpiew reklam, które na każdym rogu ulicy i co drugiej stronie gazety przyrzekają mi, że gdzieś jest lepszy świat. Otrzepuję z butów szaroburą breję, po czym rzucam na stół łup z dzisiejszej wyprawy do miasta: ciężki, opasły i błyszczący jak śnieżnobiały uśmiech sprzedawcy katalogu biura podróży. Przez chwilę pieszczę okładkę z palmą i czuję, że „Lato 2017” może się zacząć wcześniej. – *Dla pani choćby jutro!* – wciąż słyszę szept atrakcyjnej przedstawicielki biura. Jej bursztynowa opalenizna jest najlepszą rekomendacją sprzedawanych przez nią produktów. Bo tak w turystycznej branży określa się zorganizowane wakacje.

Otwieram katalog, a tam język korzyści. Przed państwem wymarzony relaks, zasłużony odpoczynek, przygoda życia

i niepowtarzalna szansa obejrzenia słynnych atrakcji. A wszystko to w otoczeniu egzotycznej (a jakże!) przyrody. Każdy hotel jest świetnie zlokalizowany, a nawet gdyby nie był, to wszędzie można dotrzeć przyjemnym spacerem. Miejscowość – malownicza. Atmosfera – niezwykła. Pokoje – komfortowe. Bufet – urozmaicony. Jeśli plaża, to pokryta złocistym piaskiem; jeśli góry, to majestatyczne; jeśli centrum, to zawsze tętniące życiem, a uliczki tylko wąskie i kręte (biedni mieszkańcy, przepraszam!, lokalna ludność).

Jeśli ktoś nie da się zwieść pokusie słów, z pewnością ulegnie obrazom. Przy nich zdjęcia w domowym albumie zawsze wypadają blade, jakby pokryte wyblakłą patyną czasu. Czym prędzej strąćmy przeszłe wakacje w odmęty niepamięci, pora sprawić sobie nowe. W jednym

z tegorocznych fasonów z pewnością będzie nam do twarzy. Hamak pod tajską palmą. Ilniąca w słońcu biała, hiszpańska wioska, a może pastelowe, włoskie miasteczko pnące się po stromym wzgórzu? Ociekające farbą drukarską fotosy są jak dekoracje na planie sztuki pt. „Podróż marzeń”, w które należy tylko wstawić głównego bohatera – nas. Może dlatego zdjęcia w katalogach przedstawiają urokliwe pejzaże, czasem zwierzęta, ale prawie nigdy ludzi. Wyjątek stanowią tubylcy vel dzicy w tradycyjnych strojach. Hinduska w tęczowym sari, Masaj w kraciastej szacie czy Kubanka z cygarem grają rolę maskotki na wzór pocziwego miśka spod Gubałówki. Bez nich czegoś by zresztą brakowało. Klient nie jest przecież głupi. Wybierając cel podróży, dokładnie wie, co chce zobaczyć.

Połąknęłam haczyk. Zgadzam się zapomnieć o szarej rzeczywistości i dać się porwać. Narracja folderu podkreśla, że podróż to nie przywilej, ale święte prawo. Starannie opracowana wyszukiwarka zdejmuję ze mnie miarę (datę wyjazdu, miasto wylotu, opcje żywieniowe oraz preferowane kierunki) i za chwilę otrzymam leżące jak ulał propozycje. Będę się mogła w nich przejrzyć jak w lustrze – sposób, w jaki spędzam wakacje, jest moją wizytówką. Kiedy będę opowiadać o nich znajomym, wyjdzie na jaw moja natura (odkrywca vs. leń), fantazja (tylko Kamczatka? Phil!) i stan mojego portfela. Okaże się też, czy jestem na bieżąco z aktualnymi trendami. Do podjęcia słusznej decyzji nie wystarczą bowiem kryteria „ciepło i ładnie”, ale gdzie nas, a przede wszystkim nikogo, jeszcze nie było.

W książce „Witajcie w raju. Reportaże o przemysle turystycznym” Jennie Dielemans opisuje tzw. efekt Torremolinos. Jego nazwa pochodzi od miejscowości na hiszpańskim Costa del Sol, kiedyś bardzo popularnej, dziś uchodzącej za przebrzmiałą i w złym guście. Jak to się stało? Turystyka masowa ma to do siebie, że stale poszukuje nowych, nieodkrytych kierunków, które można sprzedawać jako ekskluzywne. Kiedy na jakiś region nadchodzi boom, w te pędy stawia się tam hotele i restauracje. Liczba łóżek i stolików rośnie, a wraz z nią napływ turystów. Maleją tylko ceny wyjazdów, dostępnych dla coraz szerszego grona. Niepostrzeżenie miejsce, które dotąd uchodziło za elitarne, robi się pospolite i wychodzi z mody. Biura turystyczne zabierają turystów gdzie indziej, zostawiają puste pokoje i bezroboczną obsługę.

Zrobiło wam się odrobinę przykro? Uwaga: współczucie dla mieszkańców odwiedzanych krajów to także element turystycznej gry. Niedola i bieda stanowią atrakcje, które znacznie podnoszą wartość wakacyjnej przygody. Poza tym ładnie wyglądają na zdjęciach. Bose dzieciaki, chatka kryta strzechą czy stary, rozklekotany samochód tworzą idylliczną atmosferę rodem z retropocztówki, a nas stawiają w świetle odkrywców. Badacze rynku wiedzą, że od nadmorskich miejscowości wolimy rybackie wioski, od zwykłej farmy – klimatyczny pasterski szałas, a od nudnego bloku – rozsypujący się domek z kamienia. Ubodzy, lecz uśmiechnięci miejscowi poprawiają nam nastrój,

przede wszystkim tym, że dzięki nim sami czujemy się lepsi. Wyższy standard naszego życia nie wydaje nam się geograficznym przypadkiem, lecz efektem życiowej zaradności. Sięgamy do kieszeni po dolara lub cukierek i wzruszamy się losem biedniejszych. Oraz własną hojnością.

Moralne wątpliwości przegrywają z głodem słońca. Macham też ręką na wizerunkowe ryzyko. Zimowe otępienie sprawia, że nie stać mnie na większą kreatywność – rezerwuję ciepłe, bliskie i niedrogi Kanary. I szybko uświadamiam sobie, że ostatnie zdanie jest znakiem czasu. Jak to się stało, że pięć tysięcy kilometrów to dziś niewielka odległość, bilet na taką trasę można sobie kupić kilka razy w roku,

a tropikalne, przepiękne przecież wyspy wywołują wśród niektórych co najwyżej pogardliwe ziewnięcie? Co na to wszystko powiedziałby mój dziadek, który nie zdążył zobaczyć Bałtyku? Mam w głowie kilka jego ripost, które niekoniecznie wypada tu zacytować. Powiem więc zamiast tego: dajcie mi wszyscy święty spokój. To tylko wakacje! ☺

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”.

Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl

Publico24
DIGITAL NEWSSTAND

**Wygodny dostęp do prasy
na telefonie i tablecie**



Aplikacja dostępna w:



Uruchom Bluetooth, by korzystać z darmowych treści w wybranych miejscach*



Publico24
DIGITAL NEWSSTAND

R E K L A M A

FOT. MARCIN TRZCINSKI



CZŁOWIEK Z OŁOWIU

Mariusz za chwilę zanurzy się w solance. Jego sprzęt waży prawie 70 kg, w tym 47 kg – same ołowiane ciężarki.



NURKOWAŁEM W SOLANCE NASYCONEJ

Marcin Trzcíński

Wcisnąłem przycisk inflatora, i utrzymujące mnie na powierzchni powietrze zaczęło uciekać z kamizelki. Olbrzymi balast, jaki miałem na sobie, okazał się wreszcie wystarczający – otaczająca mnie solanka zamknęła się nad moją głową. Pozostał tylko szum podającego powietrze automatu i bulgot wydychanych bąbli. Zerknąłem w dół, w zielonkawym półmroku było widać kryształy pokrywające dno.



NA PAMIĄTKĘ PANA DYREKTORA

Komora Barącza powstała w XIX w. w wyniku eksploatacji olbrzymiej bryły soli zielonej. Nazwę wzięła od nazwiska dyrektora kopalni w latach 1917–18 Erazma Barącza.

Znalazłem się 110 m pod powierzchnią ziemi, w sterylnym świecie wielkiego jeziora w Komorze Barącza na terenie wielickiej kopalni. Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy, gdy cztery tygodnie wcześniej wraz z rodziną zwiedzałem kopalnię. Kiedy stałem nad zielonym lustrem wody, przez moment zaświtała mi w głowie myśl, że może by tu

kiedyś zanurkować, ale zaraz zniknęła pod naporem wrażeń związanych z wyjazdem na narty. Wieliczka była przecież tylko przystankiem po drodze do Białki. Ale solne komory nie dały o sobie zapomnieć. W dwa tygodnie później, podczas przerwy w wykładzie, podszedł do mnie Maciek, jeden ze studentów archeologii podwodnej, z propozycją... nurkowania w Wieliczce!



FOT. MARCIN TRZCINSKI

zaczynamy za dwa dni. Nerwowo wrzucałem w Google kolejne hasła mogące przybliżyć mi specyfikę nurkowania w tego typu akwenie. Nie było tego za dużo. Dominowały informacje o wynoszącym 320 g na litr wody zasoleniu, czyli roztworze nasyconym soli, co z racji jego olbrzymiej wyporności mogło sprawiać kłopoty z zanurzeniem. No i jeszcze ostrzeżenia przed dostaniem się wody do oczu. Resztę sam mogłem sobie dośpiewać. Skompletowałem sprzęt, pożyczyłem gdzie się dało kolejne kilogramy ołowianych obciążników i wyruszyłem na spotkanie z nieznanym.

POD WODĄ BĘDZIE ŁŻEJ

Jeden z trudniejszych momentów w podziemnej eskapadzie – wciąganie pochylnią wózka z 200 kg sprzętu do nurkowania i pracy pod wodą.



FOT. MARCIN TRZCINSKI

PODWODNA EKSPEDYCJA

Sprawa wyglądała bardzo ciekawie, ale przecież ile tego typu propozycji pozostaje tylko w sferze planów czy pobożnych życzeń? Podniekcytowany, postanowiłem jednak zaczekać na szczegóły. Mój entuzjazm zaczął słabnąć wraz z upływem czasu i brakiem kolejnych informacji od Maćka. Nagle okazało się, że sprawa jest jak najbardziej aktualna, a nurkowanie

Po porannym śniadaniu, na które złożyła się jajecznicą, pajdy świeżego chleba i kubki parującej kawy, podjechaliśmy pod Szyb Daniłowicza, którym mieliśmy się udać pod ziemię. Wraz z dwoma Maćkami, Tomkiem i Mariuszem z Grupy Specjalnej Płetwonurków RP wzięliśmy się do roboty. Nie było za lekko, bo do przerzucenia mieliśmy kilkaset kilogramów sprzętu, w tym butle, ciężarki,



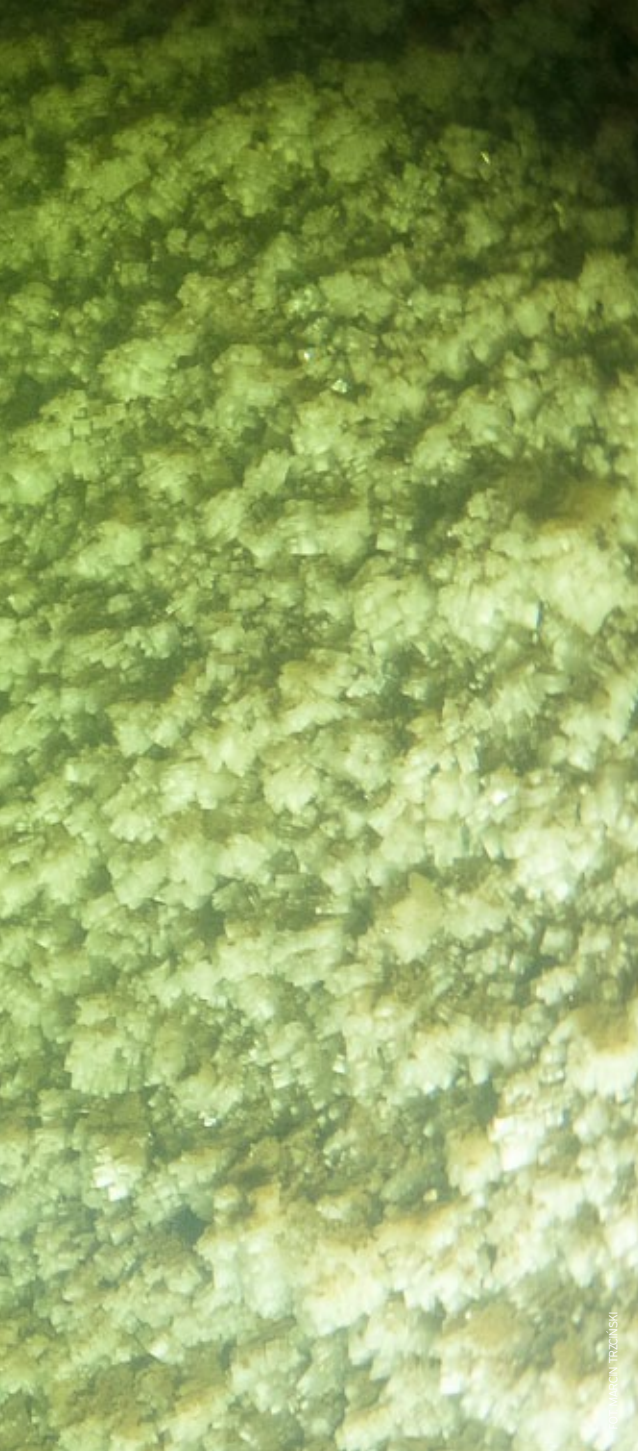
KRYSTAŁOWE JEZIORO

Pionowe ściany jeziora obrosły solnymi kryształami, wśród których tkwiły, nadgryzione zębem czasu oraz solanki, wrzucane przez turystów monety.

skafandry, skrzydła do nurkowania i automaty, no i oczywiście mój sprzęt fotograficzny, troskliwie zapakowany w walizkę i plecak. Koło szybu pojawiła się spora sterta ekwipunku, który sukcesywnie zaczęliśmy upychać na trzech poziomach windy mającej nas zawieźć na dół. Sami zajęliśmy czwarty, wypełniając całą przestrzeń w ciasnej klatce.

Rozległy się przeraźliwe dzwonki i ruszyliśmy w dół – w podróż nie tylko pod ziemię, ale i w czasie, do XIV-wiecznych krakowskich

żup solnych. Ich działalność określił nadany przez króla Kazimierza Wielkiego statut żupny z 1368 r. (choć warzelnictwo solne na tych ziemiach datuje się już od okresu neolitu, czyli około 3500 lat p.n.e.). Sól była podstawą gospodarki regionu, a sama kopalnia w okresie świetności zatrudniała około 2000 górników: kopaczy – zwanych również stolnikami, nosiczy – wynoszących urobek, zajmujących się końmi – trybarzy, przetaczających bałwany solne – walaczy... Nie licząc



Za łatwo można się gdzieś zgubić w liczącym ponad 300 km labiryncie komór, przejść i korytarzy rozrzuconych na 9 poziomach, z których najgłębsze schodzą ponad 300 m pod ziemię. W końcu byliśmy w komplecie, ale zamiast nurkowania czekała nas ciężka, fizyczna praca. Cały zwieziony pod ziemię sprzęt musiał zostać przerzucony na wózek, który następnie pochylnią należało wepchnąć pod górę na poziom komory.

OPORNA WYPORNOŚĆ

Przygotowanie do zanurzenia w wysoko stężonej solance. Najważniejsze jest właściwe dobranie oraz rozłożenie ciężarków, które muszą zrównoważyć wyporność wody (320 g soli w litrze wody).

zawodów okołokopalnianych, jak chociażby kupców mających wyłączność na handel solą, zwanych prasolami.

Winda z szarpnięciem zatrzymała się. Byliśmy na drugim poziomie, 110 m pod powierzchnią ziemi. Stąd długą pochylnią mieliśmy powędrować prosto do Komory Barącza. Ale najpierw musieliśmy poczekać na Grzegorza, który miał być naszym przewodnikiem, pomocnikiem i stróżem w jednej osobie. Bo po kopalni bez anioła stróża chodzić nie wolno.

SPRZĄTANIE NA PRZYWITANIE

Skrzyp nadmiernie obciążonych osi mieszał się z naszym sapaniem i rzucanymi od czasu do czasu niecenzuralnymi słówkami, gdy w pięciu usiłowaliśmy dociągnąć „monstrum” do celu. W końcu dotarliśmy na miejsce. Od szerokiego na trzy metry drewnianego pomostu, przytulonego do zimnej, solnej skały, odchodziła niewielka kładka, przechodząca z kolei w wąski, wznoszący się aż ku sklepieniu pomost. Resztę XIX-wiecznego wyrobiska

przykrywało zielonkawe jeziorko. Było mroczno i tajemniczo, czuło się wręcz obecność zamieszkujących te podziemia mitycznych postaci – Skarbka, Białej Damy i innych.

Skończyłem skręcać sprzęt, wciągnąłem suchy skafander, po czym przez klapę w podłodze pomostu zszedłem na platformę, unosząc się tuż nad powierzchnią wody. To miejsce było płytkie, może z 80 cm głębokości, więc doskonałe dla końcowych przygotowań – założenia butli i dociążenia się balastem. O tym, że będziemy go potrzebowali dużo, wiedzieliśmy od początku. W końcu mieliśmy pływać w roztworze nasyconym! Biada temu, któremu przeciekłaby tu maska i załało oczy.

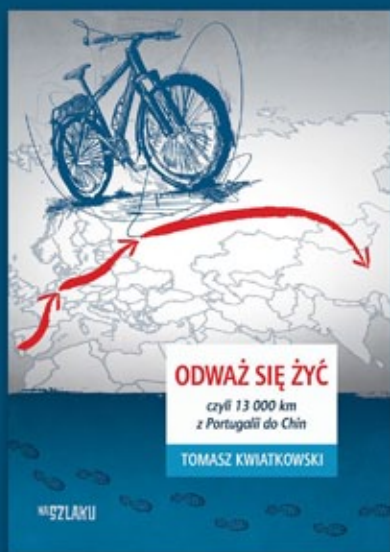
Ruszyłem pierwszy, starając się jak najmniej wzburzyć osady zalegające na dnie zbiornika. Gdy tylko znalazłem się na głębszej wodzie, spróbowałem pierwszego zanurzenia. Ale choć wypuściłem z kamizelki całe powietrze utrzymujące mnie na powierzchni, nijak nie mogłem ruszyć w dół – wyporność roztworu była olbrzymia! I to pomimo tego, że w miejsce standardowo zabieranych 8 kg miałem ich na sobie – poutykanych we wszystkich kieszeniach i na pasach – 27 kg. Nie było wyjścia: wróciłem do pomostu, aby odebrać od Maćka następną porcję ołowiu. Kolejna próba... no, może było ciut lepiej, ale pod wodę i tak nie dało się zejść w żaden sposób.



FOT. MARCIN TRZCINSKI

DENOMINACJA SOLNA

Część wydobytego skarbu – złotówki, euro, dolary, szekle, jeny, funty i wiele innych walut, niestety już bezwartościowych.



ODWAŻ SIĘ ŻYĆ Czyli 13 000 km z Portugalii do Chin

Tomasz Kwiatkowski i Piotr Kuryło rozpoczynają głośną wyprawę rowerową z Lizbony do Władywostoku w możliwie jak najkrótszym czasie. Po dwóch miesiącach w okolicach Bajkału partnerzy niespodziewanie rozdzielają się.

Ten moment dla Tomasza oznacza rozpoczęcie zupełnie nowej przygody, w innym stylu i w innym kierunku.

To początek prawdziwej przyjemności, jaką daje niczym nieskrępowana rowerowa włóczęga.

*Człowiek ten jedzie dla pokoju,
więc dlaczego miałby na mnie poczekać?
Pokój na świecie jest ważniejszy.*

Sorus
www.sorus.pl

R E K L A M A

Zawróciłem po kolejne odważniki. Teraz miałem ich na sobie już 47 kg, a ostatni pas bujał mi się z przodu na uprząży niczym powróż pokutnika. Zasycało powietrze i wreszcie rozpocząłem powolne opadanie. Metr, dwa... Udało się!

Znalazłem się w mrocznej, zielonej krainie podwodnej Wieliczki. Po chwili nadpłynął Mariusz, także walczący z niedoważeniem. Zatrzymaliśmy się nad dnem i obserwowaliśmy ukryte wśród solnych kryształów pozostałości po pracach remontowych i budowlanych prowadzonych w ostatnich latach w podziemnych chodnikach. To było właśnie nasze zadanie – posprzątać cały ten bałagan przed nadchodzącymi Światowymi Dniami Młodzieży.

SKARBY W KOMORZE

Optywaliśmy powoli niewielki zbiornik, ciesząc się chwilą daną nam w tak niezwykłym miejscu. A potem zaczęło się cięcie i wyszarpywanie na powierzchnię zalegających odpadów. Czas i zasolona woda zrobiły swoje – śmieci były pokryte drobkami kryształów, które maskowały szkaradność zatopionych przedmiotów. Dość dobra początkowo widoczność zaczęła się pogarszać i już po kilkunastu minutach pracowaliśmy w kompletnej ciemności, posługując się głównie zmysłem dotyku. Czegoż tam nie znajdowaliśmy... efekt sprzątanía przerósł najśmielsze wyobrażenia.

W przerwie od brudnej roboty zjechaliśmy trzy poziomy niżej, do wielkiej podziemnej restauracji. Zaczęliśmy od żurku z kielbasą i jajkiem, którego zagryzaliśmy wielkimi pajdami chleba. Potem były polędwiczki w delikatnym sosie śmietanowym, ziemniaki i bukiet surówek. Kto by się spodziewał, że kilkaset metrów pod ziemią można tak smacznie zjeść! Gdzieś niedaleko były też sale z łózkami dla kuracjuszy zażywających podziemnych inhalacji. Zaczęłem więc poszukiwać możliwości zadekowania się tam choćby na godzinę poobiedniej sesty. Niestety, czas gonił i znów trzeba było wejść do wody, aby dokończyć pracę.

Dalsze nasze poszukiwania przyniosły kolejne odkrycia – dwie elektryczne skrzynki rozdzielcze, potężne kotwy i pręty zbrojeniowe, zwoje przewodów wysokiego napięcia oraz... kostkę polbruku. Wszystko pięknie obrosnięte kryształami soli – aż żal było wyciągać. Ale pod wodą w Komorze Barącza były też najprawdziwsze skarby! Tysiące pozostawionych przez turystów monet: polskich, czeskich, węgierskich, niemieckich, francuskich, brytyjskich. Odkryliśmy także izraelskie szkle, norweskie øre czy chorwackie kuny. Cały numizmatyczny świat, a w nim stare PRL-owskie 5 złotych z rybakim. Leżą teraz tutaj w stosie pod pomostem. Niestety, nie dorobiliśmy się na tej ekspedycji, bo sól tak uszkadza metale, że monety bardzo szybko przestają być środkiem płatniczym. ○



Marcin Trzciński

Nurkujący od ponad 20 lat fotograf i filmowiec, współpracujący z wieloma magazynami nurkowymi i podróżniczymi w kraju i za granicą. Współpracownik Wydziału Archeologii UW. Uwielbia nurkować w ciekawych, nieszlachetnych miejscach. Marzy o obejrzeniu podwodnej Antarktydy.



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady





KAMIENNY PRZEKŁADANIEC

Mogno to nieduża wioska w południowej części kraju, w dolinie rzeki Maggia. W latach świetności miejscowość zamieszkiwało nawet 500 osób, a dzisiaj jest chętnie odwiedzana przez turystów. Wioska słynie z kościoła San Giovanni Battista Decollato. Budynek powstał w 1626 r., jednak w 1986 r. został zniszczony przez lawinę. Odbudowano go dopiero w 1997 r., po 10 latach prac budowlanych i projektowych słynnego architekta Maria Botty. Kościół wzbudza wiele kontrowersji i jest powodem dyskusji. Ten odważny w formie budynek został zbudowany z naprzemiennych warstw lokalnego marmuru z Peccia i granitu z Vallemaggia. Wnętrze mieści tylko kilkanaście osób, a doświetla je jedynie szklany dach. Mogno było

Szwajcaria Mogno i Fusio

połączone kiedyś z malowniczo położoną wioską Fusio, której budynki przytulają się do stromych zboczy góry, nad samą rzeką Maggia. Okolice wiosek to idealne miejsce na piesze wędrówki, podczas których można podziwiać lasy, wodospady i bujną roślinność.



46°26'N 08°39'E

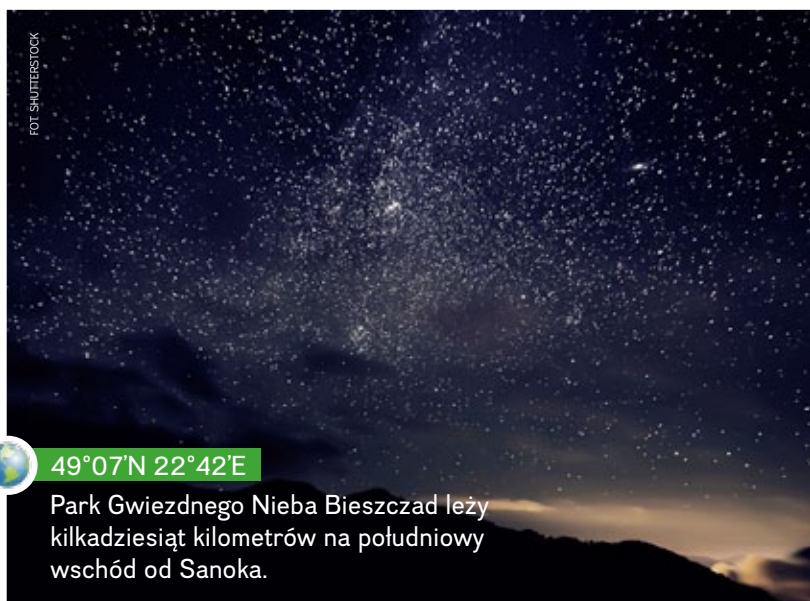
Mogno i Fusio leżą ok 240 km na południe od Zurychu.



Polska Bieszczady

Tam, gdzie widać... ciemność

„Ciemność, widzę ciemność, ciemność widzę” – ponad 30 lat temu krzychał Maks w filmie „Seksminja”. Dziś prawdziwe ciemności to rzadkość. Rzęsiście oświetlone miasta, wielkie neony, setki iluminacji. Ziemia jest coraz bardziej zaśmiecona sztucznym światłem, a granica między nocą i dniem już dawno uległa zatarciu. To źle, bo nocny mrok jest niezbędny w takim samym stopniu jak słońce. Dlatego na świecie zaczyna się chronić ciemne nocne niebo. W Polsce jednym z takich miejsc jest Park Gwiazdnego Nieba Bieszczady, który ze słowackim parkiem Połoniny tworzy największy w Europie obszar nocnego nieba najmniej skażony sztucznym światłem. Miłośnicy gwiazd mają tu doskonałe warunki do obserwacji, a podczas specjalnych pokazów mogą podziwiać nieboskłon za pomocą profesjonalnego sprzętu. Sezon astroturystyczny trwa tu cały rok, ale najlepiej przyjechać zimą. Między jesienią a wiosną, gdy noce są dłuższe i ciemniejsze niż latem, zjawiska na niebie widać najwyraźniej.



FOT. SHUTTERSTOCK



49°07'N 22°42'E

Park Gwiazdnego Nieba Bieszczad leży kilkadziesiąt kilometrów na południowy wschód od Sanoka.

Daj się rozerwać

Göteborg leży na zachodzie kraju, nad cieśniną Kattegat. Jest stolicą regionu Västra Götaland. I mimo że zamieszkuje go trochę ponad 500 tys. mieszkańców, jest drugim co do wielkości miastem Szwecji. Został założony na początku XVII w. przez holenderskich architektów i do dziś można podziwiać budynki z tamtego okresu. Göteborg jest miastem przemysłowym, ale pełnym uroku i zdecydowanie wartym poznania. Częściowo leży na wzgórzach, znajduje się tu wiele parków i zielonych skwerów, wokół jest wiele jezior, otoczonych przez lasy.

Podczas krótkiego pobytu trudno zobaczyć wszystkie największe atrakcje miasta, ale na pewno nie można pominąć Lisebergu – otwartego już w 1923 r. i do tej pory największego skandynawskiego parku rozrywki. Rocznie odwiedza go ponad 3 mln osób. W 2005 r. Liseberg został uznany najlepszym parkiem rozrywki na świecie w rankingu magazynu Forbes. Kolejną atrakcją, nie tylko dla najmłodszych, jest Muzeum Historii Naturalnej. Zostało założone w 1833 r., a w jego kolekcji znajduje się niemal 10 mln zwierząt. Po tak emocjonujących atrakcjach warto się przejść urokliwymi uliczkami jednej z najstarszych dzielnic miasta – Hagi. Słynie



57°42'N 11°58'E

Göteborg leży na wschodnim wybrzeżu Szwecji. Dolecieć do niego można tanimi liniami m.in. z Gdańska i z Warszawy.

ona z brukowanych, wąskich uliczek, drewnianych domów i mnóstwa kawiarenek, barów i restauracji. Najważniejszymi zabytkami dzielnicy są kościół Haski oraz ulica Nygata, wzdłuż której stoi dobrze zachowana drewniana zabudowa.

Czechy Pałac w Lednicach

MODA NA ZAMKI

Z roku na rok rośnie liczba turystów odwiedzających czeskie zamki i pałace. W 2014 r. było ich 4,8 mln, a w 2015 r. – już ponad pięć. Instytut Zabytków zarządza około setką tego



typu obiektów. Wzrost zainteresowania zwiedzaniem zamków i pałaców jest spowodowany ciekawymi programami kulturalnymi. Najczęściej odwiedzany jest kompleks zamkowy na południu Czech w Czeskim Krumlovie, wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Drugie miejsce zajmuje pałac w Lednicach na Morawach Południowych. Leży on kilkadziesiąt kilometrów od Brna, przy granicy z Austrią. Początkowo w tym miejscu stała twierdza, którą kilkakrotnie przebudowywano, najpierw w XVI w. – na renesansowy pałac, w następnym stuleciu – na rezydencję barokową, a w XVIII w. Jerzy Wingelmüller przebudował obiekt po raz ostatni – na styl nowogotycki. Dziś w pałacu można zwiedzać sale reprezentacyjne, apartamenty książęce, pokoje dziecięce i groty z kolekcją straszdeł. Warto zwrócić uwagę na akwarium, schody wykonane z jednego pnia dębu oraz 300-letnią palmę w oranżerii.



48°48'N 16°48'E

Pałac w Lednicach znajduje się 54 km na południe od Brna.

19. OGÓLNOPOLSKIE SPOTKANIA
PODRÓŻNIKÓW, ŻEGLARZY I ALPINISTÓW

KOŁOSY

10-12 marca 2017

GDYNIA



📍 Gdynia Arena, ul. Kazimierza Górskiego 8

📍 Pomorski Park Naukowo-Technologiczny Gdynia, al. Zwycięstwa 96/98

• prelekcje • pokazy • filmy • seminaria • gala finałowa • wystawy fotografii
• targi książki podróżniczej • targi odzieży i sprzętu outdoorowego

www.kolosy.pl • www.gdynia.pl/spotkania

organizatorzy



MIASTO
GDYNIA



sponsor strategiczny



sponsor główny



sponsor srebrny



patroni medialni



PODRÓŻE

PROWADZIŁO NAS SZCZĘŚCIE

Elżbieta i Piotr Hajduk



Granica w Beitbridge, pomiędzy RPA a Zimbabwe, zawsze jest zatłoczona. Rozglądamy się niepewnie, próbujemy w mrowiu czarnych ludzi znaleźć koniec kolejki. Biały kolor skóry ma jednak dobre strony – mężczyzna w mundurze wyłuskuje nas z tłumu i kieruje w stronę budynku, gdzie należy wykupić wizę. Po załatwieniu formalności ruszamy za odległy, zakurzony horyzont, gdzie wzywa nas magia ruin Wielkiego Zimbabwe.

Nad nami trwa afrykańska noc, która potęguje pragnienie przygody. Nie możemy zasnąć na nierównej drodze i myślimy o tajemniczych ruinach, dla których podejmujemy tę męczącą podróż. Wciąż trwają spory, czym naprawdę było Wielkie Zimbabwe. Kto i kiedy wznosił gigantyczne konstrukcje i połączył ze sobą kamienne bloki bez użycia jakiegokolwiek zaprawy? Po co to uczynił?

Czy – jak twierdzi współczesna nauka – imponujące ruiny były wspaniałym średnio-wiecznym miastem, potężnym królestwem,



FOT. SHUTTERSTOCK

bogącym się na handlu złotem? Czy może jednak warownią wzniesioną dla obrony przed wrogiem? A może miejscem kultu? Może kamienne mury były „obrazem” – trójwymiarowym odwzorowaniem astronomicznego systemu Syriusza, świętej gwiazdy Dogonów?

Czymkolwiek naprawdę były, pragniemy je zobaczyć. Usłyszeć ciszę, która tam trwa, i poczuć urok tajemniczej przeszłości.

PASTUSZEK O PIĘKNYM IMIENIU

Bramą do świata Wielkiego Zimbabwe jest miasto Masvingo. Na jego ponurych przedmieściach kobiety sprzedające owoce śledzą nas ukradkowymi spojrzeniami. Pomimo bliskiego sąsiedztwa ruin wciąż należą tu do rzadkości. Czasem tylko przejeżdżają klimatyzowanym autobusem i oglądają zza czystych szyb zakurzoną rzeczywistość miasta.

BYŁO SOBIE KRÓLESTWO

Z wysokości Akropolu, jednego ze wzgórz Wielkiego Zimbabwe, rozpościera się wspaniały widok na równinę. Bezludna dziś okolica rozbrzmiewała niegdyś gwarem tajemniczego królewskiego miasta.



MANGWANANI, DZIEŃ DOBRY!

Przybycie białych zawsze jest wydarzeniem dla miejscowych dzieciaków. *Mangwanani* to tutaj „dzień dobry”, obowiązkowo okraszone szerokim uśmiechem.

Masvingo nie poraża urodą, ale mamy wrażenie, że w powietrzu unosi się ów tajemniczy oddech historii. Z placu niedaleko centrum odjeżdżają busy w kierunku ruin. Wsiadamy do jednego z nich. Stłoczeni w ciasnym pojeździe, z zainteresowaniem oglądamy górski krajobraz, który niknie w oddali za poszarpaną linią horyzontu. Stąd m.in. pochodzi serpen-
tynit – kamień, z którego rzeźby mogliśmy podziwiać na bazarze w Masvingo. W rękach miejscowych artystów martwe bryły ożywają. Zamyślane figurki o wielkich oczach i wąskich, długich twarzach wydają się żyć własnym życiem.

Autobus zatrzymuje się w szczerym polu.
– *Tu musicie wysiść* – zwraca się do nas kierowca. – *Tamta droga prowadzi do ruin*. Idziemy przez wyschniętą sawannę, a upał leje się z nieba. Ciszę zakłóca tylko głośnie muzyka cykad. Przy drodze rosną kolczaste akacje i figowce z grubymi, aksamitnymi liśćmi. Kwitnące niebiesko dzakarandy wyglądają jak kawałki nieba, które przypadkowo spadły na ziemię.

Po prawej stronie szosy kilkoro miejscowych wyrostków pasie kozy. Jeden z nich odłącza się od grupy i zmierza w naszą stronę.

– *Skąd jesteście?* – Szczupły, przygarbiony chłopak mówi całkiem niezłą angielszczyzną.

– *Z Polski. Wiesz, gdzie to jest?*

– *W Europie*. – Ledwie widoczny uśmiech pojawia się na moment na pełnych wargach. – *Nie jesteście pierwszymi turystami z waszego kraju. Chcecie zobaczyć ruiny?*

– *Po to tu przyjechaliśmy, ale nie mamy za dużo czasu...*

– *Zaprowadzę was i pokażę wszystko*.

Jest coś ujmującego w łagodnej twarzy chłopaka. Coś, co wzbudza zaufanie i wbrew zdrowemu rozsądkowi każe nam przystać na jego propozycję.

– *Pochodzisz stąd?*

Ciemne oczy spoglądają z powagą. – *Należę do jednego z plemion Szona. Moi przodkowie założyli tu wielkie królestwo. Jego potęga wciąż trwa w naszej krwi*.

– *Są różne teorie na temat* – próbujemy podjąć dyskusję.

Chłopak kiwa głową. – *Wam, białym, trudno uwierzyć, że Wielkie Zimbabwe wzniesli Afrykanie. Już pisaliście o Fenicjanach, Żydach, Egipcjanach, nawet o Arabach. I co jest warta ta wasza nauka?*

Skąd on to wszystko wie? Wygląda na to, że zwiedzanie ruin z tym dziwnym przewodnikiem nie będzie nudne. Pozostali chłopcy odchodzą z kozami dalej w busz, zostajemy sami na drodze.

– *Jak masz na imię?* – pytamy.

– *Happiness* – głos chłopaka nadal brzmi poważnie. Patrzymy nieco zdezorientowani: *Happiness*, czyli „Szczęście”. Tak mamy się do niego zwracać?

– *Nie żartuję. W naszej kulturze imię powinno mieć konkretny przekaz. I moje ma. Możecie mówić do mnie Happy.*

– *A jesteś happy?*

– *Będę. Imię to mocna wróżba, przepowiednia przyszłego losu. Kiedyś będę szczęśliwy. Chodźcie.*

IMPERIUM MIĘDZY ZAMBEZI A LIMPOPO

Podążamy szybkim krokiem za naszym Szczęściem. Na pustej drodze nie ma ruchu, tylko stado pasiąstych zebra przygląda nam się z oddali. Chłopak wskazuje ręką na niedalekie wzgórze.

– *To Akropol, jedna z części Wielkiego Zimbabwe. Zaraz tam wejdziemy.*

Zmęczeni, dochodzimy do pustego parkingu. Na środku króluje wieża ułożona z kamieni – przedsmak tego, co czeka nas w środku. Rozglądamy się za kasą biletową, ale Happy popycha nas w stronę bramy, przyjaźnie kiwając głową strażnikom. To się nazywa mieć Szczęście!

Chłopak wydaje się nie czuć zmęczenia ani upału. Prowadzi nas szybko i pewnie w stronę wzgórza królującego nad okolicą. Wspinamy się po kamieniach porośniętych trawą.

– *To stara droga prowadząca do miasta* – mówi. Ścieżka pnie się w górę kamiennymi schodami, jest coraz węższa. Przechodzimy wąskim wąwozem pomiędzy skałami, przeciskamy się przez szczeliny, próbujemy nadążyć za przewodnikiem. Prawdę mówi stare przysłowie, że Szczęście trzeba gonić.

Przez wąski korytarz wchodzimy na rozległy dziedziniec. Happy zaczyna mówić:

– *Tu znajdują się pozostałości kamiennego miasta, którego największy rozkwit przypada na XII-XV wiek. Ten kompleks na wzgórzu wasi uczeni nazywają Akropolem, a tam, w dole,*

KAMIENNY NASZYJNIK

Tę część miasta o nieodgadnionym przeznaczeniu, zwaną Świątynią, otacza eliptyczny pierścień murów o długości 300 m. Budowla z lotu ptaka przypomina naszyjnik lub bransoletę.



W LABIRYNCIE

Na Akropol prowadzi wąska ścieżka, częściowo ukryta w trawie. Kamienne mury wtopione w naturalne formy krajobrazu tworzą labirynt wąskich korytarzy i niepokojących wnętr.

jest budowla zwana Wielkim Dziedzińcem lub Świątynią, największy tutejszy obiekt. Poza jej kamiennymi murami kryją się jeszcze dawne kwatery mieszkalne miejscowej ludności.

Ruszamy dalej. Wąskie przejście prowadzi wyżej, przez kamienne labirynty korytarzy. Gładzimy ciosane, chropowate kamienie, myśląc o ich budowniczych. Kostki ułożone są jedna na drugiej i wtopione w naturalne formacje.

– *Tu, w tych murach, zakłęta jest historia królestwa Wielkiego Zimbabwe – mówi poważnie. – Jego władcy stali na czele imperium*

rozciągającego się pomiędzy rzekami Zambezi i Limpopo. Do nich też należały kopalnie złota na równinie.

Cisza wokół nas ma w sobie coś mistycznego. Niemal widzimy średniowieczne miasto w całej jego okazałości.

– *Potęga Wielkiego Zimbabwe wyrosła na handlu złotem. Stąd władzę sprawował król, władca plemienia Szona. To była jego stolica, pałac i bastion – ośrodek silnego państwa, które utrzymywało rozległe kontakty handlowe. Tędy wiódł złoty szlak na wybrzeże Oceanu Indyjskiego, a dalej do Indii i Chin.*



KRÓL Z RZĘKI PEŁNEJ KROKODYLI

Stoimy zasłuchani, bezwiednie poddając się urokowi opowieści. Kim jest ten obdarty wyrostek pasący kozy na sawannie pod gorącym słońcem Afryki? Skąd zna historię tych ruin? Dlaczego opowiada o nich z taką miłością i pasją?

Przygarbiona postać przewodnika prostuje się z dumą. Przez chwilę wygląda jak dawny mieszkaniec złotego, kamiennego miasta, który powrócił z zamierzchłej przeszłości. Czy nie zniknie wieczorem wraz ze słońcem, rozwiewając się w powietrzu jak prawdziwe ulotne szczęście?

– *Zabudowania na wzniesieniu są najstarsze.*
– Happy przerywa nasze rozmyślenia. – *Miejscowi właśnie tę część ruin nazwali mianem Zimbabwe. Wiecie, co ono znaczy? Słowa dzimba dzemabwe można przetłumaczyć jako „domy z kamienia”.*

– *Ale co tu było?* – pytamy w końcu. – *To wzgórze wygląda jak forteca.*

Spojrzenie ciemnych oczu zwraca się w naszą stronę z przenikliwością: – *Sądzymy, że na Akropolu rezydował król i najważniejsi wodzowie. Ale jednocześnie mogło tu być coś w rodzaju świątyni, takiego religijnego centrum. Znacze może herb Zimbabwe? Nad zieloną tarczą ze srebrnym monumentem siedzi złoty ptak. To ptak stąd... Na tym terenie znaleziono osiem posążków ptaków o orlich dziobach, z ludzkimi dłońmi zamiast szponów. Ale nie jest znany kult, jakiemu miały służyć. Nawet wasza nauka tego nie wie – uśmiecha się przewodnik.*

Wąskie korytarze prowadzą na kolejne dziedzińce otoczone potężnymi skałami. Z wysokości rozpościera się wspaniały widok na równinę. W oddali połyskują srebrne wody jeziora. Poniżej widać zabudowania otoczone wysokim murem – eliptyczną budowlę świątyni.

W pewnej chwili Happy zatrzymuje się nieoczekiwanie. – *Nasze podania mówią, że stąd zrzucano ludzi podejrzanych o szpiegostwo. Tam na dół, na te kamienne głazy. Czasami nocą słychać jeszcze ich krzyki...*

Pospiesznie schodzimy niżej, a spłoszone jaszczurki uciekają spod naszych nóg.

– *Władca był okrutny?*

– *Był mężny. Jak na króla przystało. Kandydat na króla, aby udowodnić swoją odwagę, musiał przepłynąć rzekę pełną krokodyli.*

– *A królowe? Jakie były?*

– *W dawnych królestwach Szona królowe i królowe matki były bardzo ważne. Królów i wodzów, gdy niedołążnieli, niekiedy zabijano. Ale królowej nikt nie śmiał tknąć.*

– *Zabijano?*

– *Tak. Wierzono przy tym, że po śmierci mogą się oni wcielać w zwierzęta i powracać. Strażnicy opowiadają o lwach wędrujących nocami po murach. Myślę, że to wracają dusze dawnych wodzów.*

Nie wiemy już, ile prawdy, a ile legendy jest w tych barwnych opowieściach. W milczeniu schodzimy ze wzgórza.

– *Uważamy, że królowe mieszkają tutaj.* – Happy zatrzymuje się przed wysokim murem świątyni. – *Królewska matka, wdowy po byłym władcy, może i żony panującego... Mogło tu mieszkać nawet trzysta kobiet, bo dla ludu Szona liczba żon jest bardzo ważna. Świadczy o statusie społecznym mężczyzny.*

TWARZ STAROŻYTNEGO LUDU

Te figurki, rzeźbione rękami miejscowych artystów, nawiązują do tajemniczej przeszłości Zimbabwe. Zamyślane posążki o wielkich oczach i wąskich, długich twarzach to wyobrażenia na temat ludu, który tu kiedyś zamieszkiwał.



FOT. ELIZBETA I PROTA HALDOK

Próbujemy wyobrazić sobie kobiety, żony króla. Musiały być piękne, ubrane w drogie tkaniny, obwieszane złotą biżuterią...

KIM JESTEŚ, HAPPY?

– *Ta budowla jest niesamowita, prawda?* – głos przewodnika burzy naszą wizję przeszłości. – *Jej kilkumetrowe, wysokie mury tworzą okrąg. Ze szczytu wzgórza wyglądają jak ogromny naszyjnik. Sięgają dziesięciu metrów wysokości i pięciu szerokości, a wewnątrz wypełnione są gruzem.*

Podziwiamy równo przycięte kawałki granitu, starannie ułożone jeden na drugim. Wchodzimy do środka przez kamienną kwadratową bramę. W środku uwagę przyciąga dość wysoka, stożkowata wieża, stojąca w cieniu ogromnych drzew.

– *Nauka nie zna jej przeznaczenia.* – Happy cicho staje za nami. – *Mogła być skarbcem albo spichlerzem. Mogła pełnić funkcję sakralną lub być tylko symbolem płodności. Prowadzi do niej długi, mroczny korytarz między wysokimi murami. Ale nikomu nie udało się wejść do wnętrza.*

Podobno też jest wypełniona kamieniami. Nie wszystkie tajemnice są na sprzedaż. Jeśli wam powiem, że w tajemniczej wieży ma mieszkać Murengas, praojciec Szona, cały czas czuwający nad swym ludem, uwierzycie? – pyta retorycznie przewodnik.

Spacerujemy po starożytnym mieście. Jest w tych ruinach coś niezwykłego, jakaś nieodgadniona magia. Duszne, ciężkie powietrze wydaje się drżeć od tajemnic. Zachodzące słońce barwi złotem kamienne mury. Happy podziela nasz nastrój. – *To tajemnicze miejsce – mówi półgłosem. – Psy boją się wejść na teren ruin, uciekają stąd ze skowytami.*

Oglądamy porozrzucane resztki kamiennych domów, zamieszkiwanych prawdopodobnie przez zwykłych mieszkańców. Trudnili się rolnictwem, handlem, metalurgią, górnictwem. Wyrabiali piękne ozdoby ze złota pozyskiwanego w okolicznych kopalniach, wytapiali sztabki w kształcie krzyża lub litery H. Zastanawiamy się, czemu miały służyć znalezione tu kamienne misy zdobione rysunkiem bydląt z długimi rogami w kształcie liry.

Nasze Szczęście przysiadło na kamieniu i śledzi nas zagadkowym spojrzeniem.

TAJEMNICZY EXODUS

Starożytne ruiny, na których podobno w księżycowe noce dostrzec można spacerujące lwy, opuszczone zostały przez mieszkańców dobrowolnie i z nieznanых powodów. Na ich terenie nie znaleziono żadnych ludzkich kości.



FOT. SHUTTERSTOCK

– *Cały kraj przyjął nazwę od tego królestwa*
– mówi. – *Dlatego chociaż upadło, nigdy nie zostanie zapomniane.*

Na terenie ruin nie znaleziono ludzkich kości – ludzie Szona musieli opuścić swoje ziemie dobrowolnie. Nie wiadomo, co ich do tego skłoniło. Dlaczego upadło Wielkie Zimbabwe?

Przewodnik chyba myśli o tym samym, bo mówi: – *Moi przodkowie opuścili miasto, odeszli na północ, założyli nowe siedziby. Ale ich kultura i wiedza przetrwała przez pokolenia. I trwa w nas.*

– *Kim jesteś, Happy? Pracujesz tu? Jesteś przewodnikiem?* – pytamy w końcu wprost.

Na twarzy chłopaka pojawia się nikły uśmiech.

– *Wyglądam na przewodnika?*

– *Masz dużą wiedzę jak na tak młody wiek.*

– *Te ruiny są bardzo ważne dla naszych plemion. Mamy obowiązek ich strzec. Niedługo obcy nie mieli do nich wstępu. Były tylko nasze...*

Nadchodzi wieczór i chłodny wiatr kołysze koronami starych drzew. W powietrzu unosi się słodki zapach ziół. Zamyślane Szczęście patrzy na nas z powagą, opierając głowę na rękach. Nagle uświadamiamy sobie, że wygląda w tej pozie jak figurka z serpentynitu, ożywiona rękami miejscowych artystów. Wąska twarz, wysokie czoło, ogromne smutne oczy... Tak właśnie musieli wyglądać dawni mieszkańcy miasta, w złotych czasach jego świetności.



WIELKI MUR

Równo przycięte kawałki granitu ułożono bez zaprawy. Spajała je tylko precyzja wykonania. Mur kompleksu w najwyższym miejscu (na zdjęciu) ma 11 m wysokości oraz 6 m szerokości.

Chłopak nieoczekiwanie podnosi się z kamienia. – *Muszę już iść, wy możecie jeszcze tu zostać. Nikt was nie zaczepi. Ale jak będziecie wychodzić, kupcie bilety.*

– *A twoje honorarium?*

– *Te ruiny są dla mnie ojcem i matką. Na rodzicach się nie zarabia. Zostańcie w zdrowiu.*

Wodzimy wzrokiem po kamiennych ruinach, chłonąc niezwykle nastrój. Wysokie mury rzucają długie cienie na ziemię niegdyś splamioną krwią. Ostatnie promienie zachodzącego słońca gubią między kamieniami swój blask. Pragniemy jeszcze o coś zapytać, lecz nieoczekiwanie stwierdzamy, że... jesteśmy sami. Nasze Szczęście zniknęło – tak samo niespodzianie, jak się pojawiło. ○



Elżbieta i Piotr Hajduk

Ona historyk, humanista.
On inżynier, umysł ścisły.
Zjeździli razem pół globu.
On w podróżach szuka mocnych wrażeń, ona – urody świata.
I każde znajduje to, co lubi.

R E K L A M A



Tomasz Ilnicki czarnobyłską strefę wykluczenia

odwiedził sześciokrotnie. Opowiadając o tym, zabiera nas w podróż w przeszłość i przyszłość równocześnie. Jak w grze komputerowej prowadzi nas przez kolejne lokacje: szerokie aleje Prypeci, miasta-widma, w którym natura zwyciężyła cywilizację, cmentarzysko statków, przerażający pustką oddział położniczy szpitala. Razem z nim przebijamy czołówką mroki korytarzy w podziemnym laboratorium, by za chwilę spoglądać na ten fascynujący świat ze szczytu dźwigu.

Szczera, autentyczna opowieść o pasji, poszukiwaniu wolności i cenie, jaką za to trzeba zapłacić.


Sorus
www.sorus.pl



JAK ZOSTAĆ HIMALAISTĄ?

Wystarczy tydzień urlopu, żeby poczuć się jak himalaista. Nie trzeba lecieć do Nepalu, wydawać fortuny i wspinać się na ośmiotysięczniki. Można pojechać w Tatry na zimowy kurs turystyki wysokogórskiej.

Od dziecka marzyłem, żeby mieć życie jak Wielicki albo Kukuczka. Spędzać w górach całe miesiące, być ze szczytem sam na sam, walczyć z huraganowym wiatrem i żyć zupełnie innym rytmem – osiem miesięcy w górach, reszta w domu. Taki romantyczny sen. Kiedy dorosłem, trochę jeszcze tego pragnienia we mnie zostało i choć nie miałem już szans zostać himalaistą, chciałem poczuć, jak to jest. Spakowałem więc graty, urwałem się na tydzień z pracy i pojechałem na szkolenie Polskiego Związku Alpinizmu. Już sam nocleg był boski – Betlejemka. Mała, drewniana chatka, którą mijałem

za każdym razem w drodze do Murowańca. Zawsze z zazdrością. Marzyłem o tym, żeby tam przenocować, wydawało mi się, że to miejsce dla tych „prawdziwych” turystów. Że tam śpi elita.

Klimat rzeczywiście był inny niż w Murowańcu, dużo surowszy, prostszy. Zbiorowa sala, zaduch, zimny prysznic i kibelk ogrzewany palnikiem na gaz, żeby nie zamarzła woda w rurach. Po kilku dniach odechciało mi się być elitą i marzyłem o ciepłym prysznicu w Murowańcu. Ale na razie był początek, byłem zafascynowany.

Teoria, a potem pierwsze zajęcia praktyczne: budowanie punktów asekuracyjnych w śniegu. Brzmi jak najnudniejsza rzecz na świecie. W praktyce wyglądało tak, że jak nie masz drzewa albo skały, do której możesz przymocować linę, to musisz zrobić w śniegu głęboki dół i zakopać w nim czekan obwiązany liną. Później na tej linie będziesz zjeżdżał. Brzmi prosto i robi się prosto. Jest w tym nawet trochę zabawy, bo można się pobabrać w śniegu. Żeby sprawdzić, czy dobrze

przygotowaliśmy stanowisko, mieliśmy nagle obciążyć linę, zeskakując w dół.

Zeskoczyłem. Czekan wyleciał ze śniegu jak z procy i przeleciał kilkanaście centymetrów od mojej głowy. Wystarczyło, żebym przesunął się kawałek w lewo i wbiłby mi się prosto w oko. Uznałem, że od tej pory nie będę już traktował tych zajęć tak lekko.

Drugie zadanie: ratowanie ze szczeliny lodowcowej. Udała się niewielka, czterometrowa skarpa. W praktyce wyglądało to tak: dwaj związani liną ludzie, jeden rzuca się w przepaść, drugi musi błyskawicznie paść na głębie i zatrzymać dalszy upadek partnera, a potem o własnych siłach wciągnąć go na górę. Odgrywanie roli asekurującego było katogą. Facet, który normalnie waży 80 kg, gdy wisi bezwładnie na linie, ciąży jak wywrotka węgla. Musiałem się nieźle napocić, żeby wyciągnąć go na górę.

Dużo fajniejsza była rola ratowanego. Najpierw skaczesz w przepaść, a potem już nic nie musisz robić, tylko grzecznie

sobie dyndasz. Grunt jest dwa metry pod nogami i nawet jeśli spadniesz, to w zaspę śniegu. Pełen komfort. Kiedy mój partner pociał się, próbując mnie wyciągnąć, ja rozluźniłem się na tyle, że wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do kumpla, aby opowiedzieć mu, że właśnie spadłem w przepaść. Wisiałem na linie i gadałem przez komórkę, patrząc sobie na Orlą Perć.



FOT. LUKASZ DŁUGOWSKI

Po takim dniu człowiek śpi jak dziecko. Ale następny był jeszcze lepszy, mieliśmy nauczyć się spadać ze stoku. A dokładniej: zatrzymać się, kiedy powinie ci się noga i polecisz w dół. Weszliśmy na wzgórze i ustawiliśmy się na półce. Przed sobą mieliśmy 10–15 m mocno pochyłego zbocza. Mieliśmy zjeżdżać na plecach, na brzuchu, głową w dół i nikt nas za to nie karcił. Wręcz przeciwnie, jeszcze zachęcał. Trzeba było tylko umieć się zatrzymać. Sekret tkwił w tym, żeby nie hamować nogami i jak najszybciej wbić czekan w śnieg. Według badań trzeba to zrobić w ciągu trzech sekund od upadku, bo potem nabiera się prędkości i po pięciu sekundach leci już tak szybko, jak osoba w spadku swobodnym, która np. wypadła z okna. Zatrzymanie staje się praktycznie niemożliwe. Okazało się, że jeśli wiadomo, co i jak, nie jest to takie trudne. Gorzej było, kiedy mieliśmy zatrzymać się gołymi rękami, bez sprzętu. Leciałem w dół i niby wiedziałem, co mam zrobić, ale ciało odmawiało posłuszeństwa. Wszystko działo się zbyt szybko. Zjechałem aż do podstawy ściany.

W prawdziwych warunkach oznaczałoby to śmierć albo kalectwo. Zawzięłem się i próbowałem dalej. Dopiero za trzecim razem poszło, jak należy. Wbiłem pięści i stopy w śnieg, wyprężyłem grzbiet jak kot i zatrzymałem się. Instruktor mówił, że tę samą metodę można stosować

w warunkach letnich, ale wtedy koszty są większe: zedrzymy sobie skórę z rąk przynajmniej do mięsa, a raczej do kości. Ale tylko tak uratujemy życie.

Na podwieczorek poszliśmy się zaprzyjaźnić z lawinami. Instruktor odciął łopatą kawałek śniegu, żeby pokazać nam, jak na podstawie jego przekroju ocenić ryzyko lawinowe. W dużym uproszczeniu: im bardziej różnorodne i niezwiązane ze sobą są warstwy, tym większe. Uczył nas, jak za pomocą kijków narciarskich sprawdzić nachylenie stoku (najgroźniejsze są stoki o nachyleniu 35–50 stopni); żeby chodzić wybrzuszeniami, a nie żłębami i dolinami, bo tam łatwiej dostać się pod lawinę; żeby zawsze mieć przy sobie nadajniki lawinowe – „piepsy”, które pomagają znaleźć zasypanego pod śniegiem.

Najciekawsza z tego wszystkiego była wycieczka w rejon oddalony rzut kamieniem od Murowańca. Szlakiem nad Czarny Staw Gąsienicowy, w rejonie którego zginął Mieczysław Karłowicz, kompozytor i taternik. Myślę, że niemal nikt w tym miejscu nie czuje zagrożenia, bo szlak nie wygląda na specjalnie niebezpieczny. Na pewno nie na taki, na którym może zejść lawina. Jednak lawina nie musi mieć rozmiarów tsunami, żeby okaleczyć albo zabić. Wystarczy, że spadnie na nas metr sześcienny mokrego śniegu, który waży ok. 800 kg. Taki śnieg szybko tężeje i staje się twardy jak beton. Wyjście spod niego o własnych siłach jest praktycznie niemożliwe.

Ktoś, kto utknie pod spodem, musi się jak najwięcej rozpychać, żeby stworzyć poduszkę powietrzną wokół twarzy. To z niej będzie czerpał powietrze. Podobno dobrze jest się też posikać, żeby pies ratowniczy łatwiej mógł nas odnaleźć. A żeby określić kierunek – czy leżymy głową do ziemi, czy do powierzchni (wtedy wiadomo, w którą stronę kopać), należy splunąć. Ślina spadnie zgodnie z siłą grawitacji.

Większości osób udaje się przeżyć nie więcej niż 30 minut. Kto przeżyje dłużej, tego spotkał cud. Ale nie należy na niego liczyć, tak samo jak nie można liczyć na to, że uratuje nas TOPR. O ile ratownicy nie będą akurat w pobliżu, dotarcie na miejsce wypadku zajmie im około pół godziny, zanim nas znajdą i odkopią, zdążymy się udusić. Jeżeli ekipa, z którą ruszyliśmy w góry, nie będzie miała „piepsów” i sond lawinowych oraz nie będzie

umiała się nimi posługiwać, nie będzie szans na ratunek.

Na wszelki wypadek obeszlśmy szerokim łukiem strefę zagrożenia lawiną. Zagrożenie nie było duże, ale wystarczające, żeby zachować ostrożność. Szliśmy po kolana, a czasem po pas w śniegu, mijając po drodze kamień Karłowicza. Ludzie spacerujący szlakiem patrzyli na nas jak na wariatów.

Kolejny nocleg w Betlejemce i kolejny dzień w górach. Na początek przejście grani od Kasprowego do Świnickiej przełęczy z asekuracją, a potem zjazd żłębem do Hali Gąsienicowej. Żłęb był prawie pionowy. Na taterniku pewnie nie zrobiłby żadnego wrażenia, ale na mnie zrobił wystarczające. Bałem się jak cholera. Pewnie dlatego zgłosiłem się jako pierwszy na ochotnika. Najtrudniejsze było przekroczenie krawędzi. Zaufanie linie i temu, że ktoś, kto trzyma jej drugi koniec, nie puści. Pierwsze kilka kroków zrobiłem na drżących nogach, ale z każdym kolejnym wzrastała we mnie pewność siebie i zaufanie do asekuracji. Z czasem zrobiło mi się na tyle dobrze, że zamiast się bać, cieszyłem się jak szalony.

W programie były jeszcze wspinaczka w lodzie, orientacja i nawigacja w terenie. Pierwsze z tych zajęć zaliczyłem, na kolejnych już mi się nie chciało zostać. Wiem, nawigacja jest ważna, ale strasznie mnie nudzi. Spakowałem się więc i wróciłem do domu.

Wiedziałem już, że himalaisty ze mnie nie będzie, ale czego się nauczyłem, co się naspadałem i namarzęm, to moje!

Informacje praktyczne:

- Miejsce: Tatry, schronisko Betlejemka.
- Czas: 4–7 dni.
- Koszt: 790 zł.
- Co zabrać: listę sprzętu dostarczy organizator szkolenia.
- Poziom trudności: średni, wymaga trochę odwagi i przełamania strachu.

Podobne szkolenie organizowane jest przez PZA latem – letni kurs turystyki wysokogórskiej. 🟢

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowypyry w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowypyry

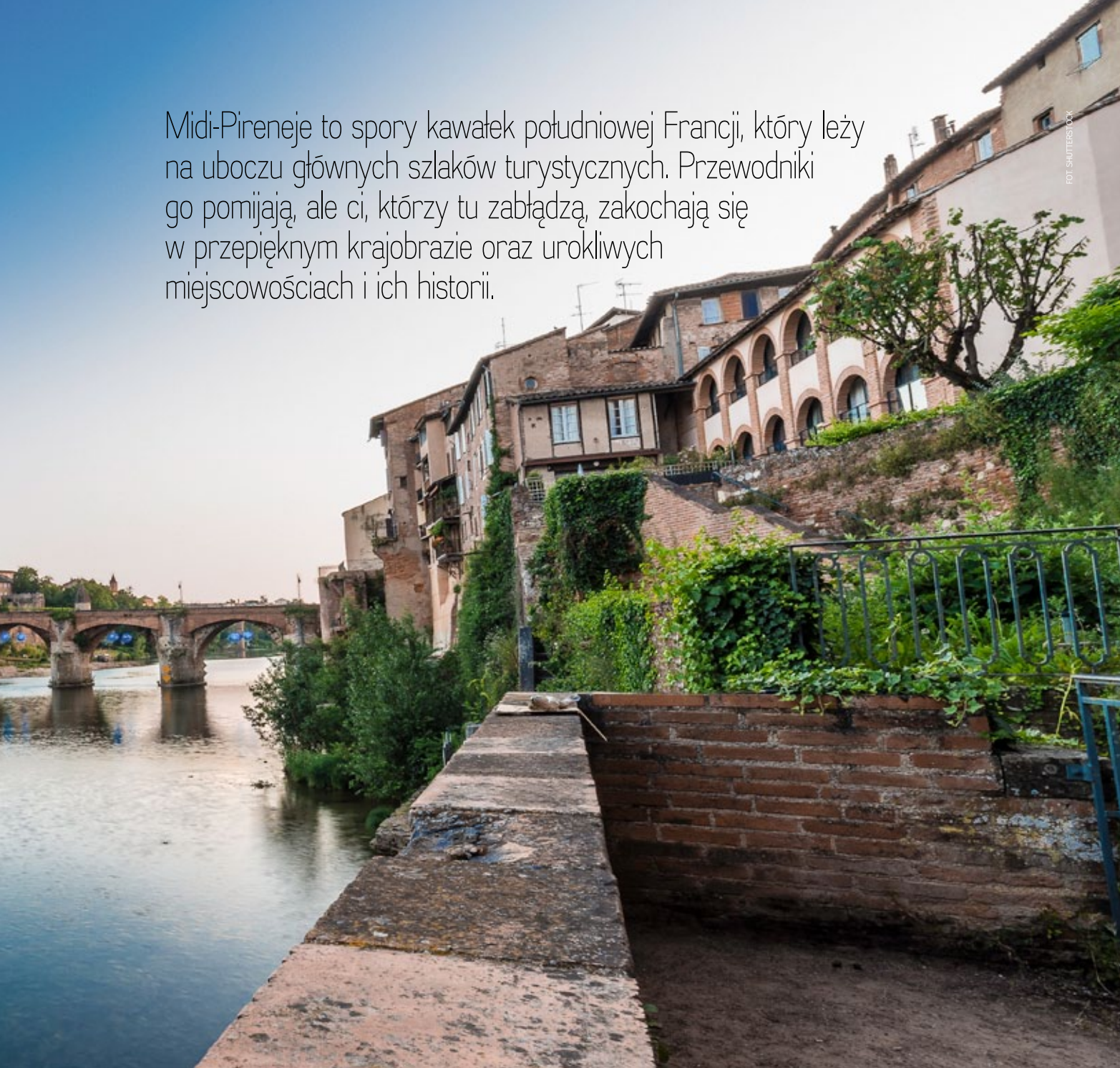
MIASTECZKA ZNAD RZĘKI TARN

Maciej Węgrzyn



Jedną z nich jest Albi, położone na północny wschód od Tuluz. Miasto liczy ledwie 50 tys. mieszkańców i leży niedaleko Pirenejów oraz Morza Śródziemnego. W 2010 r. wpisano je na listę UNESCO. Widoczne jest z daleka, bo góruje nad nim monumentalna bryła katedry. Dominuje czerwonoróżany kolor starego budownictwa, co upodabnia Albi do klimatycznych miasteczek ze wzgórz Toskanii.

Midi-Pireneje to spory kawałek południowej Francji, który leży na uboczu głównych szlaków turystycznych. Przewodniki go pomijają, ale ci, którzy tu zabłądzą, zakochają się w przepięknym krajobrazie oraz urokliwych miejscowościach i ich historii.



FOT. SHUTTERSTOCK

CECYLIA OD PAPISTÓW

Spacer warto rozpocząć na moście Pont Vieux, który nie jest może najważniejszą czy najpiękniejszą budowlą w mieście, ale w istotny sposób wpłynął na jego losy. Wzniesiono go w XI w., ale biorąc pod uwagę historię Albi, można powiedzieć, że zbudowano go późno. Początki miasta sięgają bowiem czasów starożytnych, kiedy to Rzymianie założyli nad brzegami rzeki Tarn obóz warowny. Z czasem pojawiła

się osada, którą później władali Wizygoci, a następnie Frankowie. Dopiero dzięki wybudowaniu mostu Pont Vieux – jednego z najstarszych zachowanych we Francji – Albi zaczęło zarabiać na mycie oraz handlu, co przełożyło się na tak prężny rozwój miasteczka, że stało się drugim obok Tuluzy centrum regionu.

Przeprawa pełniła też funkcje obronne (początkowo most był zwodzony i warowny) oraz... mieszkalno-handlowe (na jego

TYSIĄCLATEK

Panorama Albi, głównego miasta departamentu Tarn. Leży ono nad rzeką o tej samej nazwie. Już od XI w. dzielnice Albi łączy most Pont Vieux, jeden z najstarszych we Francji.



FOT. MACIEJ WĘGRZYN

STRAŻNICZKA WIARY

Katedrę św. Cecylii widać z każdego miejsca w Albi, a także z otaczających miasto wiosek. Wielkość świątyni miała symbolizować potęgę władzy papieskiej po rozbiściu heretyckiego ruchu katarów w tym regionie.

przestrzeni w dawnych wiekach wznosiły się niewielkie domki i sklepy). Dzisiaj most łączy dzielnicę Madeleine z kwartałami starego miasta na południowym brzegu rzeki Tarn, czyli Castetviel i Castelnau. Nadal jest otwarty dla ruchu drogowego.

Z mostu rozpościera się doskonały widok na starówkę z gotycką katedrą pod wezwaniem św. Cecylii. To serce Albi, a zarazem pamiątka po burzliwych i krwawych dziejach. Na kartach historii miasto zapisało się szczególnie w XIII stuleciu, kiedy to w południowej Francji wielką popularność zyskali reformatorzy kościoła zwani albigensami lub katarami. Ich ruch został uznany za heretycki. Na miasta Okcytanii ruszyła krucjata wspierana przez króla Francji, który pod pozorem walki za wiarę przystąpił do podporządkowania sobie niezależnego do tej pory regionu. Walki z katarami trwały długie dziesięciolecia, a ich pomyślne zakończenie postanowiono szczególnie upamiętnić właśnie w Albi. Miejscowy biskup Bernard de Castanet rozpoczął w 1282 r. budowę katedry, której ogrom miał symbolizować zwycięstwo wiary katolickiej oraz potęgę papistów.

Świątynia robi wrażenie także i dzisiaj. Katedra miała pełnić też funkcje obronne, jej ściany są zwieńczone gankiem z manichułami – otworami, przez które można było zrzucić kamienie lub łańcuchy na atakujących. Budynek ma 113 m długości i 35 m szerokości, ściany wznoszą się na wysokość 40 m, a wieża kościelna na prawie 80 m (choć nigdy jej nie ukończono). Katedra w Albi jest uznawana za jedną z największych na świecie świątyń ceglanych. Prace nad nią trwały do 1480 r., kiedy została konsekrowana.

Jej dach, w odróżnieniu od stromych i bogato zdobionych dachów katedr w północnej części Francji, jest płaski. Surowe i proste mury zewnętrzne kontrastują z bogatym jednonawowym wnętrzem. Do nawy głównej przylega dwanaście kaplic, a pięć dodatkowych otacza absydę. Świątynię udekorowano misternymi rzeźbami, witrażami oraz renesansowymi freskami scen biblijnych. Imponujące jest przedstawienie sądu ostatecznego. Warto także zwrócić uwagę na geometryczne zwieńczenia okien, czyli maswerki. Te w Albi są uznawane za najlepszy przykład późnogotyckiej architektury.



W OGRODACH JEGO EKSCYLENCJI

Ogrody przy Palais de la Berbie, niegdyś biskupie, zostały założone w XV w. Z tarasów rozpościera się wspaniały widok na rzekę Tarn oraz dzielnicę Madaleine.

Tuż przy katedrze znajduje się Palais de la Berbie. Pierwotnie była to warowna siedziba biskupa. Jest to jeden z najstarszych, a zarazem najlepiej zachowanych zamków Francji. Z czasem twierdzę przebudowano, rozebrano mury kurtynowe, założono niewielkie, lecz przepiękne ogrody na tarasach od strony rzeki. Dzisiaj odpoczywają w nich turyści.

LAUTREC, SYN ALBI

Wnętra Palais mieszczą muzeum poświęcone najslawniejszemu synowi Albi. Mowa o wybitnym malarzu i grafiku – Henrim de Toulouse-Lautrecu. Był przedstawicielem postimpresjonizmu przełomu XIX i XX w.

i wywarł ogromny wpływ na rozwój sztuki plakatu. W swoich dziełach uwiecznił życie bohemy paryskiej – tamtejszych teatrów i kabaretów. W Albi możemy zobaczyć największą kolekcję dzieł malarza, w tym wiele z tych najslawniejszych, jak: „Autoportret w lustrze”, „W salonie przy rue des Moulins” czy „Stajenego z parą koni”.

Muzeum Toulouse-Lautreca to nie jedyna z atrakcji godnych zobaczenia w Albi. Mieszkańcy miasta zachwalają również muzeum mody czy muzeum Lapérouse’a. W pierwszym z nich można zobaczyć, jak zmieniała się moda w ciągu ostatnich trzech stuleci, w co ubierali się Balzac czy Verlaine. Co roku to niewielkie muzeum przygotowuje nową



WITAJ W ŚREDNIOWIECZU

W Castelnaud-de-Montmiral panuje klimat iście średniowieczny – siatka wąskich uliczek spotyka się na centralnym placu miasta, gdzie stoją, zbudowane w XIV–XV w., szachulcowe kamieniczki z podcieniami.

tematyczną ekspozycję, np. „Biel i czern” czy „Kwiaty w modzie”. Drugie muzeum jest również niewielkie i w całości poświęcone pochodzącemu z okolic Albi hrabiemu Jean-François de Galaup de Lapérouse. Zaliczany jest on do największych francuskich żeglarzy, który zasłynął jako dowódca XVIII-wiecznej wyprawy na wody Pacyfiku. Znajdziemy tam mapy, busole, sekstansy – wszystko, co służyło dawnym odkrywcom.

wzniesione w tej dzielnicy to najczęściej kilku-piętrowe kamienice, wiele z nich zachowało swój pierwotny wygląd – na parterze znajduje się tak jak niegdyś sklep, restauracja lub punkt rzemieślniczy, a najwyższą kondygnację stanowi otwarty strych, zwany *soleiou*. Dawniej suszono tu urzet barwierski, roślinę, z której uzyskiwano słynny na całą Europę barwnik indygo. W tej dzielnicy znajduje się także najbardziej znana uczelnia w regionie – liceum

W STYLU LUDWIKA

Bogato zdobione wnętrza katedry w Albi. Swój wystrój zawdzięcza ona biskupowi Ludwikowi z Amboise, który rezydował tu pod koniec XV w. Uwagę zwiedzających przyciąga nawa z przedstawieniem sądu ostatecznego oraz XVIII-wieczne organy.



INDYGO Z PODDASZA

Po zwiedzeniu katedry, Palais oraz wspomnianych muzeów warto ruszyć na starówkę. W dzielnicach Castelveil i Castlenau zobaczymy to, z czego miasteczko słynie – dziesiątki kamienic z czerwonej cegły wypalanej z gliny, którą pozyskiwano z rzeki Tarn. Właśnie dzięki nim Albi zyskało miano „ceglastego miasta”. Czasami mówi się o nim także „różowe miasto” – tak samo, jak na pobliską Tuluzę czy Montauban, których mury, zwłaszcza o świcie, przybierają taki sam kolor.

Castelnau to najbardziej reprezentacyjny kwartał miasta. Powstał w czasie średnio-wiecznego rozkwitu Albi. Domy szachulcowe

im. Lapérouse’a. W tym dawnym kolegium jezuickim uczył się m.in. George Pompidou – premier, a następnie prezydent Francji w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Po drugiej stronie katedry św. Cecylii znajduje się najstarsza dzielnica miasta, która sięga korzeniami czasów imperium rzymskiego. Latem odbywają się tu koncerty oraz przedstawienia plenerowe. Na przedmieściach koniecznie trzeba odwiedzić miejscowość Castelnau-de-Lévis, gdzie zobaczymy gotycki kościół św. Bartłomieja, a na wzgórzu pozostałości po zamku rycerza Sicarda Alamana. Z murów warowni rozpościera się przepiękny widok na Albi oraz dolinę Tarnu.



KOLOROWE DANIA, RÓŻOWE WINO

Wizyta w Albi może być także uczcą dla podniebienia, bo tamtejsza kuchnia słynie z przepysznych jedzenia. Często używa się w niej szafranu. W sklepikach można kupić musztardy, oleje, octy czy dżemy z dodatkiem

tej najdroższej przyprawy świata. Podczas przerwy obiadowej warto spróbować specjału kuchni południowej Francji, czyli *cassoulet*. Mówi się, że przepisów na to danie jest tyle, ile miejscowości tego regionu. Jeszcze nikt nie rozstrzygnął, która z nich jest ojczyzną tej potrawy – przyrządzanej z fasoli, warzyw

WZGÓRZE MINSTRELI

W departamencie Tarn znajduje się wiele warownych miasteczek, rozsianych po okolicznych pagórkach. Jednym z nich jest malownicze Cordes-sur-Ciel, którego nazwa oznacza „skaliste wzgórze”. Na wąskich uliczkach Starego Miasta spotkać można minstreli zabawiających turystów średniowiecznym repertuarem.



I RAJSKO I SŁODKO

Turyści na ulicach Cordes-sur-Ciel. Największymi atrakcjami miasteczka, które popularność zdobyło dopiero w XX w., są rajskie ogrody (Jardin des Paradises), kościół św. Michała oraz muzeum cukru i czekolady.



STARE JAK WINO

Miasteczko Gaillac szczyci się jedną z najstarszych we Francji upraw winorośli, a tutejsze muzeum winiarstwa mieści się w opactwie benedyktyńskim.

i mięs. W regionie Tarn bardzo popularne jest *cassoulet de morue*, czyli z dorsza. Koniecznie trzeba też skosztować dań z kaczki i gęsi (np. przepysznego *foie gras*, *magret de canard* lub *confit de canard*), kremowych zup z borowików, dyni czy z różowego czosnku z Lautrec lub omletu z truflami.

Jedynie w okolicach Albi spotkamy *radis au foie* – potrawkę z solonej wieprzowej wątróbki oraz czarnej rzodkiewki, a także *pot-au-feu albigeois* – lokalną odmianę popularnego dania z wołowiny, kielbasy, kaczki, fasoli i warzyw. Na deser polecamy ciasta: cytrynowy *poumpet*, dyniowy *mesturet* o nucie rumowej, czy też migdałowe *croquants de Cordes*.

Jak to we Francji, do posiłku należy zamówić wino. Region Tarn słynie z wybornych

trunków z winnic wokół miasteczka Gaillac. Szczyci się ono tym, że uprawa winorośli ma tam jedną z najdłuższych na ziemiach francuskich historii. Wybór jest ogromny i poza tradycyjnymi winami czerwonymi czy białymi (otrzymywanymi z miejscowych szczepów mauzac czy muscadelle), można rozsmakować się także w winach różowych i musujących.

SZLAKIEM WAROWNI I FESTIWALI

Gaillac słynie nie tylko z doskonałych win. Podobnie jak Albi miasteczko urzeka historycznym klimatem. Główną atrakcją starówki jest kościół św. Michała, położony nad brzegiem Tarnu, oraz opactwo



FOT. SHUTTERSTOCK

Benedyktynów, datowane na 972 r. To zakonnicy rozwinęli w okolicy uprawę winorośli oraz produkcję wina, które rzeką eksportowano do Bordeaux. Stamtąd wina gaillac trafiały na stoły dworów w całej Europie. Z winiarstwem związane jest zresztą muzeum, które znajduje się w budynku klasztoru.

Gaillac nie jest jedyną interesującą miejscowością w sąsiedztwie Albi. Południe Francji słynie z tzw. *les bastides* – niedużych, nierzadko warownych miasteczek o średniowiecznym rodowodzie, górujących nad okolicznymi winnicami. Na większą skalę zaczęto je wznosić w XIII w., by w ten sposób zastąpić osady zniszczone w czasie krucjaty przeciwko albigensom. Dodatkowo kolonizowano dzikie obszary, i dlatego *bastides* zwano też nowymi miastami. W ciągu dwóch stuleci zostało założonych niemal 700 takich miejscowości. W departamencie Tarn znajduje się ich kilka, a jednym z najstarszych jest Cordes-sur-Ciel, datowane na 1222 r. Pierwotna, oksytańska nazwa miejscowości – Corte – oznaczała „skaliste wzgórze”. W ciągu stulecia owo wzgórze zabudowano dziesiątkami kamiennych domów, skupionych wokół wąskich uliczek spiralnie oplatających centralnie położony kościół św. Michała oraz miejski pałac ówczesnego burmistrza. Interesująca na pewno będzie także wizyta w muzeum cukru oraz czekolady, gdzie odkryjemy, jak finezyjne rzeźby można wykonać z tych „materiałów”.

Wizyta w Cordes-sur-Ciel to doskonały początek szlaku *bastides*. Warto zobaczyć także Castelnau-de-Montmiral z oryginalnie zachowanym niewielkim średniowiecznym rynkiem, wokół którego wznoszą się szachulcowe

kamienice z podcieniami. W Puyceli odkryjemy doskonale zachowane fortyfikacje z XIII w. oraz kościół św. Kornelii. Średniowieczny klimat znajdziemy również w Bruniquel, nad którym góruje warownia prawdopodobnie z początków panowania dynastii Merowingów. Duże wrażenie robi miasteczko Penne, w którym wszystkie kręte uliczki prowadzą do ruin twierdzy zbudowanej na wąskiej skale, dosłownie wiszącej ponad doliną rzeki Aveyron.

Latem w każdej z tych miejscowości odbywają się festiwale, które nawiązują do początków ubiegłego tysiąclecia. Można wówczas usiąść przy stoliku jednej z tawern, zamówić gaillaca, wsłuchać się w pieśń współczesnych minstrelów i dać się ponieść klimatowi prowincji regionu Tarn... Na przekór wszystkim przewodnikom, które go pomijają. ○

Latem w każdej z tych miejscowości odbywają się festiwale, które nawiązują do początków ubiegłego tysiąclecia. Można wówczas usiąść przy stoliku jednej z tawern, zamówić gaillaca, wsłuchać się w pieśń współczesnych minstrelów i dać się ponieść klimatowi prowincji regionu Tarn... Na przekór wszystkim przewodnikom, które go pomijają. ○

daj się
URZEC
strefie...

17-19 | **2017**
MARCA | **ŁÓDŹ**
www.nastykukultur.pl

... EKOpodróznika

... ALL INCLUSIVE

... mocnych
wrażeń



TARGI - REGIONY TURYSTYCZNE NA STYKU KULTUR

Organizator:



Patronat honorowy:



Patronat branżowy:



Patronat medialny:



Region partnerski:



R E K L A M A



Maciej Węgrzyn

Ekonomista z wykształcenia, projekt manager z zawodu. Europodróznik, fotograf oraz dziennikarz z zamiłowania. Wielki fan architektury średniowiecznej, autor przewodników zamkowych po Polsce, Słowacji, Czechach i krajach bałtyckich.



PRZEDWIOŚNIE NA PLAŻY

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Na niebie pojawiają się pierwsze klucze żurawi, w lesie widać pierwsze kwiatki. Przedwiośnie nie należy do zbyt popularnego okresu urlopowego. Właśnie wtedy na trasach Slow Road warto poszukać ciszy i spokoju w miejscach, które z pierwszymi upałami zaroją się od ludzi, parawanów i hałasu. Na plażę! W marcu? Tak!

Choć ten pomysł wydaje się szalony, już po krótkim rozważeniu go można odkryć, że to naprawdę świetne rozwiązanie dla zakochanych w polskim Bałtyku. Łatwo przekonać się o tym, gdy szuka się noclegu – w marcu i kwietniu nie ma problemu z pokojami z widokiem na morze i ciszą dookoła. Ceny też są

atrakcyjne. Kolejna sprawa to podróż. Lipcowy i sierpniowy horror na drogach, godziny w korkach i nerwach – wiosną go nie doświadczycie. Na miejscu nie będzie też problemu z parkowaniem czy dojazdem na plażę. Nie wyczekacie się w kolejkach w restauracjach, a wszędzie, gdzie zajrzycie, będziecie miło widzianymi gośćmi. Wiem to z doświadczenia, bo przez wiele lat zaglądam na wybrzeże tylko przed sezonem lub po nim i zawsze wracam pełen energii i chęci to życia.

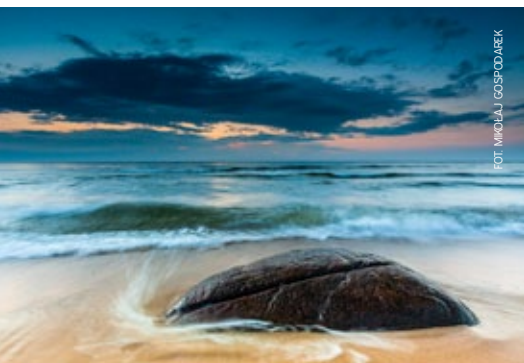
Do moich ulubionych rejonów zaliczam Pomorze Zachodnie. Obowiązkowo odwiedzam Świnoujście i oglądam zawsze przepiękny zachód słońca przy Stawie Młyny. Wielką frajdą jest rejs promem. Pewnego razu zdarzyło mi się, że płynąłem sam!

Nocleg w przedsezonowych Międzyzdrojach to przeżycie wręcz transcendentne. Wieczorem miasto wygląda na wymarłe. Tylko dwie, trzy restauracje działają

przez cały rok. Cała masa budek, stoisk i sklepików jest zamknięta i tylko wiatr odbija się od rolet w rytmie fal. Na Alei Gwiazd nie ma tłumów, w smażalni ryb na końcu miasta można posłuchać opowieści rybaków. Molo aż prosi się o spacerowicza, więc bez przeciskania się w tłumie można wdychać morską bryzę.

Wybieram nocleg w Międzyzdrojach, bo stąd najbliższej do Wolińskiego Parku Narodowego. Polecam wyjątkowy spacer brzegiem morza do Wiselki i podziwianie klifu i niepowtarzalnych krajobrazów. Niestety po klifie nie wytyczono szlaku, a ponieważ jest to park narodowy, nie można urządzić sobie legalnie takiej wycieczki. Z doświadczenia jednak wiem, że o ile z dołu wygląda zjawiskowo, to na górze idzie się bardzo źle i spacer traci swój urok.

Jadę dalej na wschód i zatrzymuję się na jednej z piękniejszych plaż, jakie znam, czyli w Dziwnowie. Nie umiem wytłumaczyć tego fenomenu, ale ilekroć



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



tam zaglądam, na niebie dzieje się coś niezwykłego. Później odwiedzam ruiny kościoła w Trzęsaczu i spaceruję w kierunku Rewala. Tu też można podziwiać krajobraz Bałtyku, plaży i klifu.

Celowo omijam Kołobrzeg i z sentymentu zaglądam do pobliskiego Grzybowa. Pewnej jesieni uzbierałem tu tyle grzybów, że w PKS-ie, którym wracałem do domu, ludzie myśleli, że jestem handlarzem.

Zawsze marzyłem, żeby porozmawiać z rybakami. Można ich spotkać w wielu portach, ale ja chciałem poznać takich wysmaganych wiatrem, którzy w oczach mają szacunek do fal. Po latach poszukiwań odkryłem takie miejsce w Unieściu. To prawie koniec Pomorza Zachodniego. Ta mała wioska leży w cieniu znanego Mielna. Nic nie wyróżnia jej od setek innych nad Bałtykiem, poza jednym – na plaży można zobaczyć wracających z połowu rybaków, którzy w pobliskich smażalniach sprzedają ryby i pracują w obecności spacerujących turystów. Latem giną w tłumie, ale poza sezonem można zobaczyć wyjątkowe obrazy, coraz rzadsze nad polskim morzem. Wiem, że w Orłowie, Dąbkach, Rewalu czy Międzyzdrojach też są kutry, rybacy i cała otoczek, ale takiego klimatu jak w Unieściu nie znajdziecie.

Na koniec udaję się w jedno z ukrytych przed tłumem miejsc, gdzie zasypiam

w koronach drzew. Dosłownie! Oddalona 40 km od Bałtyku Zielenica to mała miejscowość na końcu świata. Jest otoczona tzw. Bieszczadami Pomorza – leży pośród wzgórz i lasów. To jedno z najfajniejszych miejsc w tym rejonie, w jakim spałem. Zatrzymuję się w zawieszonym kilka metrów nad ziemią domku Orle Gniazdo i delektuję się ciszą. Właściciele opisują to miejsce w dwóch słowach – zieleń i przestrzeń.

Taki nieoczywisty bałtycki rajd pozwala na nowo odkryć uroki polskiego wybrzeża. Niezmęczony tłumem ludzi, napatrzonej do granic możliwości na

najpiękniejsze plaże, wracam zawsze pozytywnie nastawiony do życia. Polecam taką podróż każdemu – nikt nie wróci rozzarowany upałem ani tym, że woda była za zimna! ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



POD DACHEM INDOCHIN

Magdalena Żelazowska



O świcie na wzgórzach przy granicy Wietnamu z Chinami zaczyna się poruszenie. W porannej mgle między piętrami ryżowych tarasów tańczą kolorowe motyle. Czerwone, czarne, białe, zielone. Kiedy nad Sa Pa wstaje dzień, kobiety schodzą z gór.



TOWARY NA TORY
Centrum wydarzeń
i pewna klientela
– szyny kolejowe
to w Hanoi najlepsza
miejscówka na stragan.

Próbujemy złapać ostatni wieczorny pociąg z Hanoi. Wracamy na dworzec kolejny raz tego dnia – wcześniej musieliśmy trafić na coś w rodzaju sjeści, bo w małym budynku otoczonym przez bazar nie było żywego ducha. Wykorzystaliśmy popołudnie, żeby zobaczyć przedstawienie teatru lalek na wodzie, ale pora już ruszyć dalej. Tym razem kasa otwarta, są jeszcze bilety na nocne połączenie do Lào Cai. Ale tylko najtańsze, w wagonie typu *hard seat*. Tym lepiej, zaoszczędzimy – cieszymy się. Do czasu.

TWARDE LĄDOWANIE

Przedziałów brak, a zamiast siedzeń – wyjęte z przeszłości drewniane ławki. Zupełnie jakby ktoś przeniósł je tu z parku nad jeziorem Hoan Kiem. Poza nami w wagonie nie ma prawie nikogo, więc na twardych szczebelkach rozkładamy śpiwory, a stopy opieramy na ławce naprzeciwko. Nawet wygodnie. Koła w ruch, nosy do okien.

Azjatyckie miasta przechodzą zdumiewającą przemianę oblicza dziennego w nocne. Niepostrzeżenie cichnie uliczny zgiełk: klaksony skuterów, dzwonki rikszy i nawoływania sprzedawców. Na straganach neonowe barwy tkanin, lampionów i nieznanych owoców nikną za blaszanymi roletami. Na chodnikach zaś zaczyna się wieczorna uczta. Wietnamskie restauracje to skupiska niskich stołeczków, pośród których stoją parujące garnki ze strawą. Nie ma menu, dostępne potrawy widać w naczyniach ustawionych na ziemi. Kraby, krewetki, małże, homary, kalmary – bez kupowania kota w worku. A raczej psa, bo tutaj to cenione danie dla smakoszy. Tak jak paryżanie, mieszkańcy Hanoi cenią sobie posiłki z widokiem na życie ulicy, dlatego siadają na kawałkach rozłożonej tektury i urządzają chodnikowe pikniki, a nawet miniogniska. Jedzenie jako czynność przyziemna nabiera tu dosłownego znaczenia.

Pociąg co chwilę przebija się przez zwarty strumień pojazdów siodelkowych, toruje sobie drogę szlabanami. Szyny wiją się między budynkami, których da się dotknąć, gdy wystawimy rękę za szybę. Na upartego w czasie jazdy można też zrobić zakupy, bo wzdłuż torów rozkładają się bazy, w pośpiechu zwijane na czas przejazdu składu.

W Hanoi kolej nie biegnie opłotkami, tylko wgryza się w tkankę miasta. Może dlatego opuszczenie go tyle trwa. Nie wyjechaliśmy jeszcze poza jego granice, a pociąg stanął już z dziesięć razy. Na każdej stacji dosiada się coraz więcej podróżnych. Miejscowi przyglądają się nam z takim samym zaciekawieniem, jak my im – najwyraźniej jesteśmy jedynymi turystami na pokładzie. Musimy zabrać nogi, nie ma wolnych siedzeń. Kolejni pasażerowie układają się w korytarzu, pod ławkami i na półkach na bagaże. Na miejsce mamy dotrzeć o szóstej. Przed nami długa noc.

SA PA SPA

Rozciągłość południkowa Wietnamu wynosi 1750 km, co sprawia, że kraj jest niezwykle zróżnicowany klimatycznie i krajobrazowo. Na północy, w graniczącej z Chinami prowincji Lào Cai, górują trzytysięczniki, a wśród nich dach Indochin: najwyższy szczyt Wietnamu – Fansipan (3143 m n.p.m.). Kiedy



ROLA NA TARASIE

Miejscowi rolnicy wykorzystują każdy skrawek ziemi. Na tarasowych poletkach uprawiają ryż, kukurydzę i rośliny strączkowe.

w pozostałych regionach panuje upał, tutaj jest przyjemnie chłodno. Docenili to Francuzi, którzy w 1922 r. założyli tu stację górską, która pełni funkcję kurortu wypoczynkowego. W Sa Pa powstały kościoły, place, stylowe wille oraz plantacje herbaty i cynamonu. Dziś miasteczko, oddalone niecałe 400 km od Hanoi, przyciąga nie tylko łagodnym klimatem i urzekającymi krajobrazami, ale też barwną kulturą lokalnych mniejszości etnicznych.

Nad ranem przez wagon przebiegają szmery budzących się pasażerów. Próbuje rozprostować kości, nie naruszając niczyjej przestrzeni osobistej. W szarówce świtu za oknem rysują się wzgórza poprzecinane poletkami uprawnymi. Ich właściciele są już na nogach: podążają za pługiem lub schylemni nurkują w zielonym morzu ryżu. Z Lào Cai do Sa Pa jest jeszcze 38 dość stromych kilometrów. Na stacji czekają busiki, odjazd po wypełnieniu wszystkich miejsc. Marzymy o odpoczynku. Na szczęście Sa Pa jest do tego idealnym miejscem.

Oddech świeżym górskim powietrzem to cudowna odmiana od zaduchu zatłoczonego pociągu. Z okien niewielkiego hoteliku widać zielone szczyty w kształcie trójkątów.

Łóżko ma elektrycznie podgrzewany materac, w końcu jesteśmy na północnym biegunie Wietnamu. Po gorącym prysznicu i kilku godzinach snu idziemy nabrać sił w jednej z miejscowych knajpek, wciśniętej między salony masażu specjalizujące się w stopach strudzonych wędrowców. Dostrzegamy ślady czasów francuskiej kolonii: katolicki kościół, europejskie nawiązania w architekturze. Po drodze spotykamy kobiety w fantazyjnych strojach – przedstawicielki lokalnych plemion.

LUDZIE CZARNI I CZERWONI

W Wietnamie żyje ponad 50 grup etnicznych. To największa różnorodność ze wszystkich krajów Azji Południowo-Wschodniej. Niektóre plemiona, jak O'Du czy Brau, liczą zaledwie kilkadziesiąt osób, inne, jak Tay lub Thai – ponad milion. Część narodowości napłynęła z sąsiednich państw. Na przykład z południowych Chin, jak przybyły w XVIII w. w okolice Sa Pa

OBWOŻNY I OBNOŚNY

W wietnamskich miastach dominuje handel z bagażników rowerów i z koszy transportowanych w bambusowych nosidłach.





GÓROLSKIE DZIEWCZYNY

Kobiety z górskich wiosek są siłą napędową regionu: tworzą piękne rękodzieło, znają języki i utrzymują swoje rodziny.

FOT. JULIA WICHAŁCZEWSKA



ATMOSFERA KOLONII

W Sa Pa wciąż czuć atmosferę francuskiej kolonii. Przypominają o niej dekoracyjne fasady przy głównej ulicy kurortu i stare wille ukryte na zboczach wzgórz.

FOT. MAGDALENA ŻELAZO/ISA

plemiona Hmongów i Dao, wywodzące się z prowincji Tonkin.

Najliczniejszą grupę etniczną w regionie, liczącą 800 tysięcy osób, są Hmongowie, członkowie chińskiego ludu Miao. Poza Wietnamem i Chinami można ich spotkać także w Kambodży, Laosie i Tajlandii. Z powodu kolorystyki ubioru dzielą się na Hmongów Czarnych, Czerwonych, Białych, Zielonych, a nawet Kwiecistych.

Tradycyjne stroje, wykonane z bawełny oraz konopi i barwione naturalnymi barwnikami, są bogato zdobione haftami, frędzlami i pomponami, a ich waga dochodzi do 10 kg. Ważnym dopełnieniem jest ciężka srebrna biżuteria, która świadczy o zamożności i służy do odstraszenia złych duchów.

Naszyjniki, bransoletki, kolczyki i pierścionki są wykonywane na miejscu przez cieszących się dobrą sławą jubilerskich rzemieślników, a przed laty podobno wytapiano je z francuskich monet. Najczęściej spotykani Hmongowie Czarni noszą ciemne koszule i długie kamizelki. Ich odcień to efekt stosowania naturalnego indygo, które rozcieńcza się podobno ryżowym winem, sokiem z cytryny lub... moczem małych dzieci. Skromny, stonowany ubiór ozdabia feeria kolorowych ozdób i nakryć głowy.

Przedstawiciele plemienia Czerwonych Dao, których w Wietnamie mieszka ponad pół miliona, należą do tej samej grupy językowej co Hmongowie, ale różnią się od nich wyglądem. Najbliżej im do Czerwonych Hmongów, których znakiem rozpoznawczym są przykuwające wzrok ozdobne chusty. Kobiety Dao gołą sobie brwi i przednią część głowy, na której formują duży czerwony turban przypominający poduszkę, ozdobiony frędzlami i monetami. Im więcej dekoracji, tym wyższy status społeczny właścicielki. Ale już wzrost – niekoniecznie. Mimo dodających centymetrów warstw ubioru, wszystkie sięgają nam poniżej ramienia. Filigranowe, o twarzach dzieci, swój wiek i życiowe doświadczenie zdradzają dopiero, gdy opowiadają o sobie.

KOBIETY PRACUJĄCE

Wynajmujemy skuter, żeby dotrzeć do mniejszych wiosek: Cat Cat, Ta Van, Seo Mi Ty, Sin



FOT. JULIA MICHAŁCZEWSKA

MODEL PRZENOŚNY

Najmłodsze dzieci podróżują na targ na plecach mam. Nikt lepiej nie prezentuje czapeczek robionych ręcznie.



FOT. JULIA MICHAŁCZEWSKA

Chai. Żeby je znaleźć, trzeba zjechać z głównych dróg, co przypłacamy wywrotką na szutrze. Warto. Podziwiamy cieniste bambusowe zagajniki, górskie panoramy i zbocza pełne ryżowych tarasów.

Przeglądamy się ludziom i szybko wyciągamy wniosek, że w świecie ptaków bardziej dekoracyjni są przedstawiciele płci męskiej, ale w górskich plemionach Wietnamu jest odwrotnie. To kobiety noszą piękniejsze stroje i przypominają egzotyczne kwiaty lub motyle. Są też bardziej zaradne i aktywne w różnych sferach życia. Prowadzą domy zbudowane własnymi rękami, opiekują się dziećmi, uprawiają ziemię, pracują w turystyce, handlują produkowanym przez siebie winem ryżowym.

Nawet konopie, z których powstają tradycyjne stroje, to zdaniem miejscowych „sprawa kobiet”. Panie zajmują się całym procesem produkcji, począwszy od wysiewania, uprawy, zbiorów aż po odseparowanie włókien, skręcenie nici i tkanie. Tworzą też rękodzieło, które sprzedają turystom. W tym celu wczesnym rankiem pakują duże plecione kosze zakładane na plecy. Wkładają do nich tkane kolorowe szale, poszewki, narzuty, portmonetki i haftowane sakiewki. A w chusty uformowane w nosidełka – swoje dzieci.

W trakcie kilkugodzinnego marszu schodzą z wiosek w góry otaczających

Sa Pa. W prostych sandałach lub plastikowych klapkach poruszają się dużo sprawniej i szybciej niż profesjonalnie ubrani turyści, którzy zamawiają trekking w miejscowych biurach podróży. Zmierzają na targ w Sa Pa lub Bắc Hà, by przed zmrokiem wrócić do domu.

Wychodzą za mąż młodo, w wieku kilkunastu lat. A raczej są wydawane, czasem nawet porywane. W ich wspólnotach pod wieloma względami czas się zatrzymał. Hmongowie i Dao wyznają animizm, wierzą w duchy przodków i natury. Ich wioski to skupiska małych glinianych chat połączonych z zagrodami dla zwierząt. Osady leżą na wysokości 1000–2000 m n.p.m., poniżej osłaniającego je szczytu.

W tutejszych mniejszościach etnicznych panuje system klanowy, a z obawy przed zatarciem języka i tradycyjnych wartości dzieci często nie są wysyłane do szkół. Zamiast tego sprzedają pamiątki, uczą się od turystów angielskiego i zarabiają więcej niż rodzice. Postępu nie da się zatrzymać.

Nas też nie – w Sa Pa spędzimy tylko kilka dni. Potem ruszymy w dół, na południe, przemierzmy cały Wietnam aż do delty Mekongu. Na razie jesteśmy na samej górze mapy, którą otwieramy na kolejnej widokowej przełęczy. Przed nami wspaniała perspektywa. ○

MODNIE I WYGODNIE

Fantazyjne okrycia głowy, bogate ornamenty i okazała biżuteria idą w parze z praktycznym obuwiem: w porze suchej są to japoniki, w deszczowej – kalosze.



Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



INTELIGENTNE ŁADOWANIE AKUMULATORÓW

ŁADOWARKA JAKA JEST, KAŻDY WIDZI...

W podobnych słowach pisał o koniu („Koni jak jest, każdy widzi”) Benedykt Chmielowski, autor pierwszej polskiej encyklopedii („Nowe Ateny”). Żyjący kilka wieków temu pisarz uznał hasło za tak oczywiste, że nie widział potrzeby dalszego rozpisywania się. Jest wiele pojęć i przedmiotów, które – wydawałoby się – bardzo dobrze znamy. Nasza wiedza o nich może być jednak niekiedy bardzo powierzchowna.

Nie każdy wie, że posiadanie nawet najlepszych akumulatorów (np. w rozmiarze paluszków AA) nie zapewnia ich optymalnego wykorzystania. To zadanie dla dobrej, odpowiednio dobranej ładowarki. Wbrew pozorom nawet przy zakupie tak prostego urządzenia może się przydać trochę informacji, aby

wybierać bardziej świadomie. W zbliżonych cenach dostępne są często podobnie wyglądające modele, ale jakość ich wykonania i niezawodność często trudno ocenić. Podpowiemy zatem, na co zwrócić uwagę przy wyborze ładowarki.

MIKROPROCESOR JAK MÓZG

Warto wybierać tylko **ładowarki z mikroprocesorem**. Dlaczego ten element jest taki ważny? Ponieważ dba o bezpieczne i pełne naładowanie akumulatorów. Zastosowanie mikroprocesora

stopniowo staje się standardem, mimo to w sklepach nadal jest mnóstwo modeli pozbawionych tego istotnego elementu.

Jak działa zwykła ładowarka, bez mikroprocesora? Ładuje niestety bardzo powoli (niskim prądem) przez okres około kilkunastu godzin. To powoduje, że po wyznaczonym czasie ładowarka zakończy pracę, niezależnie od tego, czy akumulatory będą naładowane, czy nie. Nie może ona bowiem sprawdzić stopnia ich naładowania. Można by wręcz powiedzieć, że ładuje „beźmyślnie”, cokolwiek się w niej umieści – rozładowany czy naładowany akumulator – dla niej to bez różnicy. W wielu wypadkach takie ładowarki nie rozpoznają też, gdy ktoś z niewiedzy lub przez pomyłkę włoży baterie alkaliczne (co grozi ich wylaniem i uszkodzeniem urządzenia).

Ładowarka z mikroprocesorem to zupełnie inna historia. Mikroprocesor jest jak mózg. To właśnie dzięki niemu ładowarki tego typu określa się niekiedy jako inteligentne. Ten niezmiernie ważny element steruje przebiegiem ładowania – mierzy napięcie akumulatorów, kontroluje czas pracy i ilość ładunku, który został w nie włączony (mierzony w miliamperogodzinach – mAh). Najważniejsze jednak, że dzięki takiej kontroli ładowarka może zakończyć proces w momencie faktycznego naładowania akumulatorów – często już po kilku godzinach pracy. Bardziej zaawansowane modele podają wskazania na wyświetlaczach LCD, nieraz bardzo szczegółowe. Dobrze zaprojektowana ładowarka mikroprocesorowa wykrywa ponadto baterie alkaliczne oraz uszkodzone bądź mocno zużyte akumulatory i nie podejmuje próby ich ładowania.

ZALETY NIEZALEŻNOŚCI

Druga ważna cecha dobrej ładowarki to tzw. **niezależne kanały ładowania**. Bardzo często ładowarki z mikroprocesorem są w nie wyposażone, ale nie jest to regułą. O co w tym chodzi?

Tańsze modele mają kanały podwójne i ładują wyłącznie parzyście – najczęściej tylko dwa lub cztery paluszki. W takiej ładowarce nie naładujemy zatem jednego albo trzech akumulatorów. Przeszkadza to zwłaszcza w sytuacji, gdy używamy np. latarki zasilanej trzema cienkimi paluszkami (AAA) – a jest to bardzo popularne dla wielu małych latarek dostępnych w sklepach. Poza tym jeśli w podwójnym kanale umieścimy dwa akumulatory o zupełnie różnym stopniu naładowania (zużycia) lub różnej pojemności, to jeden z nich będzie zawsze niedoładowany lub przeładowany. Podwójne kanały ładowania sprawdzają się tylko wtedy, gdy ładujemy identyczne akumulatory, a przy tym w identycznym stopniu rozładowane.

Jeśli mamy ładowarkę mikroprocesorową z niezależnymi kanałami, nie musimy się tym przejmować – każdy akumulator jest ładowany indywidualnie, co daje pewność, że wszystkie

naładują się do pełna, bez względu na ich stan i pojemność. Wśród małych, popularnych ładowarek mikroprocesorowych z niezależnymi kanałami, przeznaczonych do akumulatorów AA/AAA, należy wymienić **everActive NC-450**. Model jest bardzo łatwy w obsłudze i w czytelny sposób pokazuje na wyświetlaczu orientacyjny poziom naładowania akumulatorów. Radzi sobie nawet z tymi wymagającymi „reanimacji”.

KOMU W DROGĘ, TEMU... ŁADOWARKĘ

Większość ładowarek dostępnych na rynku jest przystosowana do zasilania wyłącznie z sieci (mają napięcie wejściowe w przedziale 100–240 V AC). Istnieją na szczęście modele o napięciu wejściowym 12 V DC, dzięki czemu można je zasilać także w np. aucie – ładowarkę podłączamy wówczas do gniazda zapalniczki za pomocą osobnego adaptera.

everActive NC-450

Cena: 49 zł *
everactive.pl

Taką możliwość zapewnia m.in. **everActive NC-1000 Plus**. To produkt idealny dla zapalonych podróżników, którzy używają akumulatorów i ładowarek, a nie zawsze mają dostęp do prądu ze zwykłego gniazdka. NC-1000 Plus sprawdził się bowiem podczas liczącej 1700 km wyprawy Wielkim Szlakiem Himalajskim (sierpień 2015 – styczeń 2016; relacja z podróży dostępna na everactive.pl). NC-1000 Plus należy już do ładowarek profesjonalnych, wielofunkcyjnych, które oferują dodatkowe możliwości (takie jak mierzenie pojemności czy regeneracja akumulatorów) i zajmują niewiele miejsca.

BEZ KOMPROMISÓW

Pora na konkluzję. Pierwsza – ładowarkom bez mikroprocesora i niezależnych kanałów mówimy stanowczo „nie!”. Druga – warto zaufać znawcom branży i liderom rynku. everActive oferuje wyłącznie ładowarki mikroprocesorowe z niezależnymi kanałami ładowania. Oferta marki w tym zakresie jest obecnie najlepsza na polskim rynku i na pewno zainteresuje także profesjonalistów. Pod marką everActive są dostępne modele oferujące zaawansowane rozwiązania (NC-3000), wyposażone w wiele kanałów (NC-1600 może ładować aż 16 akumulatorów AA/AA), a także uniwersalne (NC-900U – może ładować również akumulatory R14, R20, 9 V).



everActive NC-1000 Plus

Cena: 115 zł *
everactive.pl



Poznaj nasze produkty i znajdź sklep na everActive.pl

*ceny z podatkiem VAT, nie dotyczą akumulatorów widocznych na zdjęciach.

Dzieci w Szafszawanie całe dnie, a w ramadanie także dużą część nocy, spędzają poza domem. Wąskie uliczki, na które wychodzą okna i drzwi domostw, zamieniają w place zabaw i boiska. Ci chłopcy pozwolili zrobić sobie zdjęcie, ale warunkiem był wspólny mecz.

Michał Klima

Błękitne miasto Szafszawan

To jedno z najbardziej urokliwych miast Maroka. Jego największą atrakcją jest magnetyczny i dominujący błękit na ulicach, schodach czy elewacjach budynków. Nie bez powodu Szafszawan jest nazywany błękitnym miastem.

Kiedy dziewczynki bawiące się na ganku domostwa dostrzegły obiektyw, prawie wszystkie zaczęły uciekać. Jedna z nich była jednak zainteresowana pozowaniem.



Na ulicy można kupić wszystko – od garbowanych skór, przez jedwabne chusty, po używane meble. Sprzedający, stłoczeni w kameralnych uliczkach i na niedużych placikach, spędzają tak całe dnie, na pracy i wspólnych rozmowach.



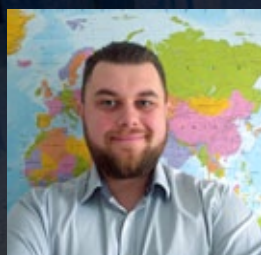


Maroko to kalejdoskop barw, smaków i zapachów.
Tutejsze suki kipią od różnorodnych przypraw, barwników
do tkanin i skór oraz lokalnych wyrobów.

Najczęściej można się natknąć na stragany uginające się od owoców i warzyw. Królują pomidory, banany i pomarańcze. Nierzadko funkcję straganu pełni płachta rozciągnięta na ziemi albo kilka plastikowych skrzynek.



Fotografowanie ludzi w krajach muzułmańskich jest problematyczne. Ci, którzy chętnie pozują, należą do mniejszości. W islamie uwiecznianie żywych na obrazach bywa uznawane za bałwochwalstwo.



Michał Klima

Filozof z wykształcenia. Odwiedził 35 państw, przejechawszy ponad 45 tys. km 14-letnim kombi. Od kilku lat zajmuje się fotografią podróżniczą i przyrody. O swoich podróżach pisze na blogu www.team-from.pl

Jedzenie to nieodczuwalna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu,

podobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

To popularne w Ameryce Łacińskiej danie pochodzi najprawdopodobniej z Peru. Przyrządza się je ze świeżych morskich ryb o białym mięsie. Surową rybę zalewa się sokiem z cytrusów – powoduje to denaturację białka, dzięki czemu sprawia ona wrażenie ugotowanej.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

🕒 15 MIN. PLUS OK. 2 GODZ. MARYNOWANIA

🍴 2 OSOBY

CEVICHE

📖 Rybę pokroić na drobne kawałeczki, doprawić, wymieszać z posiekaną papryczką i zalać sokiem z cytrusów. Odstawić do lodówki na ok. 2 godziny, co jakiś czas zamieszać. Pod koniec sprawdzić, czy całe mięso zmieniło barwę z przezroczystej na białą. Wylać połowę marynaty. Pozostałe składniki pokroić drobno i połączyć z rybą przed podaniem.

🛒 SKŁADNIKI:

- 200 g surowego dorsza bez skóry i ości
- 100 ml soku z limonek i cytryn
- duży pomidor
- awokado
- czerwona cebula
- mała papryczka chili
- garść świeżej kolendry
- sól i pieprz



Z PERSPEKTYWY
Ryszard Badowski



KRESU NIGDY NIE MA

„Dla idących liczy się przede wszystkim dojść do kresu. A kresu przecież nigdy nie ma”. To motto książki „Dwa bieguny” Marka Kamińskiego. Zacerpnął je z traktatu filozoficznego „Twierdza” pisarza, który przecierał szlaki powietrzne nad Saharą, Andami i Atlantykiem. Jego marzeniem był lot z Nowego Jorku na Ziemię Ognistą. Nie dotarł do niej, rozbił się w Gwatemali. Antoine de Saint-Exupéry próbował dociec, dlaczego człowieka zawsze pociągało nieznane.

Małgorzata: „W polarnej wędrówce jest coś z medytacji. Jak jest trudno, myślisz, co zrobić, żeby przetrwać”.

Saint-Exupéry: „Mierząc się z przeskodą, człowiek poznaje samego siebie. Tylko nieznane przeraża człowieka. Ale dla tego, który stawia mu czoło, przestaje być nieznanym”.

Małgorzata: „Biegun ma w sobie magię, jak najwyższa góra i najgłębsze nurkowanie”.

Saint-Exupéry: „Burze, mgły, śnieżyce nie raz dadzą ci popalić. Jeśli inni przez to przeszli, znaczy, że można przez to przejść”.

Małgorzata po dotarciu do bieguna: „Ten marsz był niesamowity. Jestem trochę zmęczona, ale szczęśliwa. Życie jest piękne”.

w Antarktydzie Wschodniej. Stamtąd wezwano ją na pomoc glaciologowi i fotografowi przyrody polarnej Heinrichowi Eggenfelnerowi, którego samolot z prywatną ekspedycją rozbił się w pobliżu bieguna. Miała go ewakuować skuterem śnieżnym. Przy okazji natknęła się na odsłonięty wiatrami namiot, który pozostawił Amundsen. Zaprezentowała go na wystawie inaugurującej Zimowe Igrzyska Olimpijskie 1994 w Lillehammer.

W latach 1998–2003 pracowała na Svalbardzie. Kierowała placówką naukową w Ny-Ålesund, badającą zmiany klimatu na północy Norwegii. Organizowała morską służbę ratunkową. Napisała kilka książek o Arktyce i Antarktyce. Był wśród nich zapis jej wspomnień z wyprawy do bieguna południowego. Za tę ekspedycję otrzymała Złoty Medal Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

Od tego czasu minęło blisko osiemdziesiąt lat. Z bieguna południowego wróciła Małgorzata Wojtaczka, pierwsza Polka, która miała inne pasje (wyprawy jaskiniowe, zdobywanie na nartach gór, jachtowe rejsy polarne) niż francuski intelektualista, wożący pocztę lotniczą na trasie Tuluza – Casablanca – Dakar. A myśli o niepoznanym podobne. Śledziłem uważnie jej marsz dzięki temu, że Poznaj Świat patronował wyprawie. Co kilka dni otrzymywałem raporty podróżniczki przekazywane z Antarktydy przez telefon satelitarny do „sztabu brzegowego” w Warszawie.

Z osobistych zwierzeń

Małgorzata: „Idę się oderwać od powszedniości, zobaczyć inny świat”. Saint-Exupéry: „Wśród ludzi jest się także samotnym. Odległość nie jest miarą oddalenia”.

Jej poprzedniczki

Marek Kamiński bardzo żałował, że przed pierwszą wyprawą na biegun południowy (1994–95) nie zdołał się spotkać z dwoma Norweżkami – Monicą Kristensen Solås, pierwszą kobietą, która próbowała tam dotrzeć na saniach z psim zaprzęgiem, oraz Liv Arnesen, samotną zdobywczynią bieguna rok przed nim. Niestety, wątku wypraw kobiecych nie rozwinął. A jest on niezmiernie ciekawy.

Monica Kristensen, geolog, meteorolog i oceanograf, w wieku 36 lat stanęła na czele ekspedycji, która w 1986 r. zamierzała dotrzeć do bieguna, podobnie jak jej rodak Roald Amundsen oraz Robert Scott w 1911 r. Od tego czasu ludzie osiągnęli biegun jedynie na samolotach lub pojazdach gąsienicowych. Z 86. stopnia szerokości południowej musiała zawrócić.

W latach 1991–92 zakładała norweską stację naukową na Ziemi Coatsów

Bez wsparcia z zewnątrz

Liv Arnesen z historią norweskich wyczynów polarnych zapoznała się we wczesnym dzieciństwie. Jej rodzice mieli pokaźną bibliotekę prac naukowych i powieści o zdobywcach krain polarnych. W wieku 9 lat przeczytała o wyprawie Amundsena. Skończyła studia pedagogiczne, w czasie których uprawiała narciarskie biegi przełajowe oraz wspinaczki na nartach. W 1992 r. wzięła udział w pierwszej kobiecej wyprawie na Grenlandię niekorzystającej ze wsparcia z zewnątrz. Przeszła w poprzek całą czapę lodową wyspy.

W 1994 r. jako pierwsza kobieta, w wieku 41 lat, dotarła samotnie na nartach do bieguna południowego bez pomocy. Zaledwie rok wcześniej dokonał takiego wyczynu pierwszy mężczyzna Erling Kagge, doświadczony polarnik i poszukiwacz

przygód, który na czas wędrówki odciął się od świata. Nie zabrał nawet radia. Stał się znany dopiero, gdy trafił na okładkę międzynarodowego wydania magazynu „Times” po przejściu tzw. klasyczną trasą z Wyspy Berknera, położonej na Lodowcu Szelfowym Ronne, do stacji Amundsen-Scott. Arnesen startowała z fiordu Hercules Inlet na tym samym szelfie, szlakiem niewypróbowanym przez poprzednie wyprawy, biegnącym wzdłuż południka 80°30’W, o 200 km krótszym, ale trudniejszym do pokonania z powodu ukształtowania terenu. Z Wyspy Berknera na biegun wyruszył dwukrotnie Marek Kamiński. Wojtaczka zaczęła swój marsz z tych samych okolic na krańcu Antarktydy co Arnesen.

Historyczna trzydziestka

Ćwierć wieku temu kobiety ruszyły ławą do bieguna południowego. W elitarnej trzydziestce najważniejszych zdobywców znalazła się, obok Norweżek, czterosobowa wyprawa Amerykanek, która w 67. dniu po starcie z Hercules Inlet doszła do celu 14 stycznia 1993 r., na nartach i saniach ciągniętych przez psy, wyprzedzając o rok Liv Arnesen. Im za-

Organizatorką wyprawy była 37-letnia Ann Bancroft, nauczycielka i wykładowczyni wyższych uczelni. Jej uczestniczkami: 39-letnia Anne Dal Vera, strażniczka leśna i przewodniczka ekstremalnych wycieczek w głąb puszczy stanu Kolorado, narciarka górską, oraz 35-letnia Sue Giller, psycholog, nawigator, wytuczająca najbezpieczniejszą trasę marszu przez wypiętrzone lody i zastrugi. Ponadto pełniła funkcję zaopatrzeniowca i dbała o dobór leków oraz wyposażenie umożliwiające przeprowadzenie czynności chirurgicznych. Najmłodsza, 31-letnia Sunniva Sorby, była medyczką.

Wyprawie nadano nazwę The American Women’s Expedition to Antarctica i zadbano o jej rozgłos. Nazwisko Bancroft zostało wpisane na Tablicę Sławy Amerykańskich Kobiet, a jej portret umieszczono wśród postaci najbardziej zasłużonych dla USA.

Amerykanka Bancroft wraz z Norweżką Arnesen dokonały w 2001 r. pierwszego kobiecego trawersu Antarktydy na nartach z użyciem żagli. W ciągu 94 dni pokonały trasę 2747 km. W 2007 r. jako pierwsze kobiety przeszły Ocean Arktyczny, zdobywając przy okazji biegun północny. Po tych wyprawach założyły

agencję zajmującą się organizacją ekstremalnych wypraw eksploracyjnych z ich udziałem. W styczniu tego roku zakończyły spływ 5-osobowym pontonem rzekami południowych Chin. Obecnie przygotowują ekspedycję sześciu kobiet z sześciu kontynentów wodami Gangesu, aby zwrócić uwagę świata na szybko ubywające zasoby wody pitnej na świecie. Planują

z myślą o przewozie poczty oraz pasażerów zainteresowanych, jak wyglądają miejsca inne niż te, w których się urodzili.

Masa turystów zwiedza obecnie świat odkryty w poprzednich stuleciach. Jedni – by zaspokoić ciekawość, inni – by przeżyć przygodę. Takich doznań szukali zdobywcy kanionu Colca, Polacy, którzy dotarli do źródeł Amazonki i spłynęli nią do Atlantyku, himalaistki, którzy sięgnęli po Koronę Ziemi.

Mieszkający w Kanadzie Polak Jerzy Adamuszek ustalił w 1986 r. rekord, którego nikt nie pobije. Odbił szaleńczy rajd przez obie Ameryki, od Prudhoe Bay na Alasce do Ushuaia na Ziemi Ognistej. W niecałe 19 dni przebył trasę o długości prawie 24 tys. km, łączącą dwa najodleglejsze krańce Ameryk, i kosztowało go to tylko 12 tys. dolarów kanadyjskich. Wyczyn ten potwierdziła Księga rekordów Guinnessa, ponieważ był pierwszym człowiekiem, który tego dokonał. Rok później próbowali poprawić ten wynik dwaj Amerykanie (on jechał sam). Użytkali czas o trzy dni gorszy. Kapituła Księgi Guinnessa postanowiła nie odnotowywać więcej rekordów na tej trasie. Adamuszek napisał o swoim przejeździe książkę „Wyrachowane szaleństwo”. Może tak należy nazwać ekstremalne podróżowanie w dobie globalizacji?

Małgorzata Wojtaczka skarżyła się, że brak jej czasu na zachwycanie się Antarktydą. Musiała się spieszyć, aby zdążyć na ostatni samolot ze stacji Amundsen-Scott przed zamknięciem letniego sezonu nawigacyjnego. W tym roku nad biały kontynent nadciągała wcześniejsza o dwa tygodnie zima. Zdobyczyni bieguna nie miała kiedy popatrzeć w gwiazdy, które w książce „Ziemia, planeta ludzi” Saint-Exupéry nazwał Iśniącymi promykami zsyłającymi marzenia. Uważał, że świecą tylko po to, aby każdy mógł znaleźć swoją. ○



Małgorzata Wojtaczka na biegunie południowym – styczeń 2017

tem przysługuje tytuł trzeciej w historii grupowej ekspedycji na biegun. Doskonale zorganizowanej. Wspieranej z ładu przez niewielki samolot, który w 32. dniu marszu dowiózł im warzywa, owoce i wysokokaloryczne płyny do picia oraz uzupełnił zapasy paliwa. W powrotnej drodze zabrał odpady, fotografie, filmy, listy do bliskich.

nową, międzynarodową wyprawę kobiecą na Antarktydę w celu sprawdzenia, jak zmienił się w XXI w. ten kontynent.

Wyrachowane szaleństwo

Saint-Exupéry przewidział epokę globalnej turystyki. Dlatego w 1935 r. podjął próbę przelotu z Paryża do Sajgonu

Ryszard Badowski

Dziennikarz, podróżnik, operator filmowy, fotograf, pisarz, autor programu telewizyjnego „Klub sześciu kontynentów”. Pierwszy Polak, który dotarł na wszystkie kontynenty. Autor ponad 100 filmów i kilkuset artykułów o tematyce podróżniczej oraz 16 książek. Z miesięcznikiem *Poznaj Świat* jest związany od 59 lat.

Gotowi na sezon

Choć zima jeszcze nie odpuszcza, myśli krążą już wokół pierwszych wiosennych wycieczek rowerowych. Warto odpowiednio wcześniej wzbogacić swój ekwipunek albo pomyśleć o kupnie nowego roweru. W końcu sezon może rozpocząć się już niebawem.



IDEALNE W PODRÓŻY KINDERKRAFT COMFORT

Nosidełko dla niemowląt od 3. miesiąca życia aż do osiągnięcia wagi 9 kg. Regulowane pasy z miękkimi ochraniaczami oraz usztywnienie ochraniające kręgosłup zapewniają bezpieczeństwo i komfort. Boczne pasy umożliwiają dostosowanie nosidełka do gabarytów niemowlaka, a otwory zapewniają wentylację.

Konstrukcja umożliwia noszenie maleństwa przodem do opiekuna (główka jest zabezpieczona wysokim zagłówkiem), tyłem (pozycja umożliwia swobodę ruchu dzięki możliwości złożenia i spięcia zagłówka) lub na plecach rodzica. Nosidełko jest lekkie, a po złożeniu zajmuje niewiele miejsca – doskonale sprawdzi się w podróży.

Cena: ok. 60 zł
kinderkraft.com

WYTRZYMAŁE I FUNKCJONALNE ENDURA HUMMVEE ZIP-OFF

Szkocka marka przygotowała funkcjonalne i wytrzymałe spodnie rowerowe. Materiał oparty na włóknach nylonowych z zewnętrzną impregnacją odpycha wodę. Dzięki zamkom nad kolanami spodnie można nosić jako szorty. Mają z tyłu dwie duże kieszenie na mapy oraz dwie zamykane kieszenie z przodu. Przedłużone zamki przy kostkach są regulowane na rzepy Velcro. Komfort użytkowania zapewniają m.in. brak szwów po wewnętrznej stronie nogawek oraz możliwość wpięcia wewnętrznych spodenek z wkładką w systemie Clickfast™.



Cena: ok. 330 zł
endurastore.pl

NAJWYŻSZA PÓŁKA YETI SB6

To dokładnie taka rama jak ta, na której ścigają się zawodnicy w Enduro World Series. Dzięki innowacyjnej technologii jest na tyle mocna, aby wytrzymać trudy ścigania w zawodach enduro czy zabawę w bike parkach oraz na tyle lekka, aby umożliwić wielogodzinną turystykę górską. To rower, na którym można wygrać mistrzostwa świata lub po prostu ustanowić najlepszy czas na lokalnej Stravie. YETI SB6 TURQ jest oferowany w dwóch kolorach oraz trzech wersjach wyposażenia.



NAWADNIJ SIĘ KLS TANK 30

Tank 30 to doskonałe nawadnianie organizmu podczas jazdy rowerem i biegu. Zapewnia wygodny dostęp do napoju. Ma objętość 3 l i wykonany jest z materiału PEVA (polimer etylenu) zabezpieczonego warstwą antybakteryjną. Szerokie i praktyczne zamknięcie Slide Lock ułatwia czyszczenie. Wążek z materiału termicznego o długości 100 cm ma uszczelniony usznik z osłoną przeciw zabrudzeniu.

Cena: ok. 65 zł
www.kellysbike.com



LEPSZE ZDJĘCIA KOMÓRKA KENKO CLIP LENS

Obiektywy Kenko są adresowane do osób zajmujących się fotografią mobilną oraz rejestrujących video za pomocą urządzeń mobilnych. Mogą być używane z kamerami internetowymi instalowanymi w ultrabookach i laptopach. Sprawdzają się znakomicie podczas wykonywania zdjęć grupowych, krajobrazu oraz w makrofotografii. W ofercie dostępne są obiektywy fisheye, macro, szerokokątny oraz tele.

Cena: ok. 90-140 zł
www.foto-technika.pl

NAJNOWSZA TECHNOLOGIA MARTOMBIKE NILIT® INNERGY PRO

Spodnie biegowe od Martombike zostały wykonane z materiału NILIT® Innergy. Ułożenie włókien zostało zaprojektowane tak, by poprzez termoregulację wspomagać walkę z cellulitem i nadmiarem wody, co ujędrnia ciało. Dzieje się to za sprawą naturalnego wytwarzania promieni FIR (promienie dalekiej podczerwieni). Włókna przyczyniają się również do lepszej stymulacji poprzez ogrzewanie ciała. Właściwości termoregulacyjne pobudzają mięśnie do dodatkowej pracy i wpływają na zwiększenie wydajności podczas treningu.



Cena: ok. 200 zł
martombike.com



Cena: ok. 23 400 zł
yeticycles.pl

sprawdź ceny

ceneria.pl

outdoorowa porównywarka cen

Cena: ok. 210 zł
(wersja 3L)
www.camelmore.pl



NAJWYŻSZA JAKOŚĆ W DOBREJ CENIE SOURCE WIDEPAC ULTIMATE HYDRATION SYSTEM

Source serii Ultimate to bukłaki ze wszystkimi dodatkami ułatwiającymi użytkowanie, jak termiczna rurka, osłona na ustnik czy dodatkowy klip magnetyczny stabilizujący rurkę. Wielkim udogodnieniem jest również przystawka, która umożliwia napełnienie bukłaka bez konieczności wyjmowania go z plecaka. To wszystko wraz z dożywotnią gwarancją producenta za niewygórowaną w tej klasie cenę.

Cena: ok. 1300 zł
www.berghaus.com



SUPERLEKKA BERGHAUS HYPER 100

Kurtka została wykonana z tkaniny trójwarstwowej, a jej waga wynosi 97 g (rozmiar M). 3L Hydrosheal® Elite Pro sprawia, że to najbardziej oddychająca i wodoodporna kurtka, jaką stworzył Berghaus. To odpowiedź marki na zapotrzebowanie konsumentów na trwałą, niezawodną i bardzo lekki produkt. Nową linię opracowywał przez wiele miesięcy zespół innowacji MtnHaus™. Powstawała w ścisłej współpracy z dostawcami materiałów oraz sportowcami. Berghaus Hyper 100 zdobyła złotą nagrodę OutDoor Industry Award 2016.

WIĘCEJ MOCY TREK POWERFLY 8 LT PLUS

Dzięki wspomaganiu pedałowania Bosch Performance CX powstał wyjątkowo sprawny rower. Ma osłonę ramy Knock Block, sprawnie działające zawieszenie ze skokiem 150 mm oraz mocny, montowany centralnie silnik Bosch, który pozwala osiągać prędkości do 32 km/h.



Cena: ok. 330-600 zł
(w zależności od modelu)
www.himalsport.com.pl

DESIGN I LEKKOŚĆ JULBO AEROLITE

Niezwykle lekkie okulary sportowe są przeznaczone dla kobiet i sportowców, dla których waga ma duże znaczenie. Oferują niezwykle wydajną wentylację i szerokie spektrum soczewek, także fotochromatycznych, jak nowa rozjaśniająca soczewka Zebra Light Red. Okulary zostały odchudzone poprzez brak górnej części oprawki nad soczewką. Mają wygodny, regulowany nosek 3D Fit Nose, a także amortyzowane zauszuki Air Link Temple System, dzięki którym leżą jeszcze pewniej na głowie w każdych warunkach.



Cena: ok. 22 500 zł
trekbikes.com

NA KAŻDĄ POGODĘ TSG DROP RAIN

Wodoodporna (8000 mm) kurtka nie ogranicza ruchów w czasie rowerowych eskapad. Lekka i oddychająca (5000 g/m²/24 h). Rozciągliwy materiał daje komfort poruszania się. Ma wszystko, co powinna mieć: liczne rozpinane otwory wentylacyjne, rzepty na rękawach, kilka kieszeni, kaptur duży na tyle, aby zmieścić się pod nim kask, szwy zgrzewane na ciepło, a do tego liczne odbłaski. To kurtka na każdą pogodę. Materiał: 95% nylon, 5% rozciągliwy spandex, membrana wodoodporna.



Cena: ok. 540 zł
www.hsecompany.pl

LEVELX BRAVO CORE ARMOR

Każda marka chwali się innowacyjnymi rozwiązaniami. Wiele twierdzi, że to właśnie ich produkt jest najwygodniejszy czy chroni najlepiej. Sądzę, że bardziej liczą się opinie użytkowników oraz warunki i aktywności, w jakich mieli do czynienia z produktem. Dlatego postanowiłem przetestować LevelX Bravo Core Armor, czyli lekką termoaktywną zbroję z ochraniaczami na barkach,

bokach oraz plecach, która jest przeznaczona zarówno do kolarstwa, jak i do sportów zimowych. Poligonem doświadczalnym był słoneczny włoski region Trentino, a konkretnie Alpe Cimbra – szybkie, kapitalne trasy, ale i mocno operujące słońce. To okazja do sprawdzenia poziomu ochrony, oddychalności i transportu wilgoci. A także do przetestowania zbroi podczas zabawy na fatbike'u oraz jeździe psim zaprzęgiem – pełna różnorodność aktywności.

Produkty Level X są bardzo ciekawym połączeniem dopasowanego

do ciała kroju *compression fit* z technologią odzieży termoaktywnej oraz padami ochronnymi wykonanymi z pianki pochłaniającej energię uderzenia (EVA). Elastyczny i rozciągliwy we wszystkich kierunkach materiał zapewnia swobodę ruchu i idealnie dopasowuje się do każdej sylwetki. Jak zapewnia producent, podczas wykonywania ćwiczeń

TEST

poprawia krążenie krwi w mięśniach, a tym samym zwiększa ich siłę, wydajność i przyspiesza regenerację.

Tak precyzyjnych odczuć nie miałem, ale mogę z pewnością stwierdzić, że zbroja była jak druga skóra. Świetnie przylegała do ciała, nie przemieszczała się w czasie użytkowania, bez względu na to, czy była to rozgrzewka, dopinanie butów, jazda na wyścigu, czy szaleństwa na stoku i rowerze. Zapewniała poczucie lekkości, w zasadzie zapomniałem, że mam ją na sobie. Wpływ na to miało z pewnością użycie ośmiu paneli materiału o różnej grubości i gramaturze (a tym samym właściwościach), które umieszczono w odpowiednich miejscach (na przedzie, na bokach, pod pachami itp.). Niezwykle ważne dla komfortowego użytkowania było połączenie paneli podwójnymi płaskimi szwami, których w ogóle się nie czuje (niech konkurencja się uczy).

Wilgoć z powierzchni skóry była odprowadzana bardzo szybko, dzięki

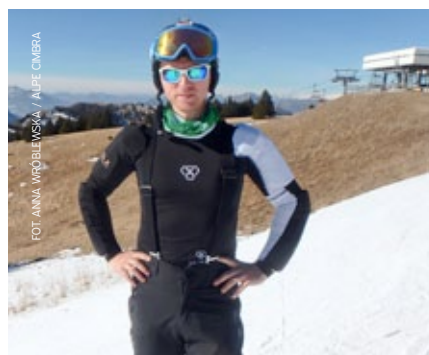
czemu nie wyziębiłem się podczas jazdy wyciągiem i w trakcie krótkich odpoczynków. Na tak skuteczne działanie mają z pewnością wpływ otwory i kanały wentylacyjne, zapewniające

cyrkulację powietrza pod całą powierzchnią ochraniacza. W materiale użyto jonów srebra Silverplus® Protection, które uniemożliwiają powstawanie przykrych zapachów, rozwój bakterii i drobnoustrojów.

A jak z efektywnością ochrony podczas upadków i uderzeń? Na szczęście nie miałem żadnego bliskiego spotkania z drzewem, ale drobnych upadków właściwie nie odczułem. Producent podkreśla innowacyjne wypełnienie pianki polietylenowej żelam grafenowym, który wzmacnia jej strukturę wewnątrz. Dzięki temu pady lepiej absorbują energię. Plecy są chronione przez dwa pasy biegnące wzdłuż kręgo-



Cena: ok. 600 zł
levelx.pro



FOT. ANNA WROBLEWSKA / ALPE CHERA

słupa po jego obu stronach. Nie odczuwa się ich podczas skłonów i ruchów skrętnych, a ponadto zapewniają dobrą wentylację pleców. Bok pleców i dolna część łopatki jest również chroniona, a całość dopełnia ochraniacz barku. Co istotne, to w pełni polska produkcja. Zbroję można prac w palce, szybko wyschnie, ponieważ pianka EVA jest zbudowana z zamkniętych porów i nie nasiąka wodą.

Choć test trwał dość krótko, był bardzo wszechstronny. Jestem bardzo zadowolony z użytkowania i mogę z całym przekonaniem polecić produkty Level X. Pod koniec lutego rusza akcja przedsprzedaży nowych modeli zbroi.

Test: Grzegorz Miedziński

CROOZER KID 1

Niektórzy myślą, że wraz z pojawieniem się potomstwa trzeba odłożyć na bok wiele aktywności. Wymienia się wśród nich jazdę na rowerze, bieganie, jazdę na rolkach, czy nawet zimowe spacer. Nic bardziej mylnego. Dzięki przyczepce dla dziecka można cieszyć się wspólnie spędzaniem czasem. Jako młody i szczęśliwy tata małej Zosi (za kilka dni skończy 7 miesięcy), mogę śmiało stwierdzić, że Croozer

Kid to idealne rozwiązanie dla aktywnych rodziców.

Kurier przywozi płaski karton. Po rozpakowaniu go widzę świetnie „skompresowany” sprzęt i już wiem, że znajdę na niego miejsce w piwnicy czy garażu, a już z całą pewnością zmieści się do bagażnika samochodu (wymiary złożonej przyczepki: 105 x 74 x 29 cm). Jej rozłożenie trwa kilka minut, a instrukcja obsługi bardzo jasno i czytelnie wskazuje kolejne



Croozer Kid 1 Plus
Cena: ok. 3200 zł
pl.croozer.com



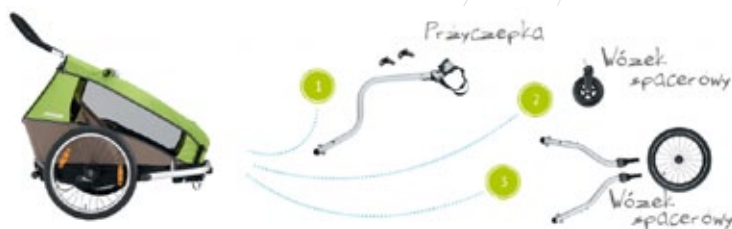


kroki postępowania. Waga wynosi 14,2 kg. Zestaw zawiera dyszel z dwoma zaczepami do roweru, małe kółko oraz zaczepy i większe koło – czyli prawdziwe trzy w jednym. Dzięki Croozer Kid 1 zyskujemy: komfortową przyczepkę rowerową, zwrotny wózek spacerowy (z użyciem małego kółka) oraz wózek sportowy pozwalający na bieganie czy jazdę na rolkach.

Z powodu śnieżnej zimy miałem przyjemność testować jeden z dodatków, czyli Ski Adapter Kit. Pozwala on na wypięcie kół i wmontowanie w ich miejsce adapterów, w które wpinamy narty. Pozwala to m.in. biegać na nartach, spacerować, a nawet przemieszczać

bująco do przodu i do tyłu, ale to raczej wynikało z techniki mojego przemieszczania się na nartach lub z grubości pokrywy śniegu.

Podczas sprzyjającej aury przednia ściana przyczepki może być otwarta. Gdy tylko pogoda się zepsuje, można ją założyć foliową ścianą zabezpieczającą dziecko przed wiatrem i deszczem. Z kolei w upalne dni można użyć jedynie moskitiery, by chronić dziecko przed owadami. Obie zastłonki składa się i rozkłada w kilka sekund. Prosty, ale niezwykle efektywny jest też system amortyzacji, który w znaczący sposób podwyższa komfort użytkowania – głównie z punktu widzenia dziecka.



się rowerem (typu fatbike) w głębszym śniegu. Adaptery pasują do każdego dziecięcych nart zjazdowych (wymiar adaptera to 235 mm, czyli narta musi mieć wiązanie pozwalające na wpięcie buta o takim wymiarze). Zestaw nie zawiera nart, ale to niewielki dodatkowy koszt, bo można kupić używane lub je wypożyczyć. Zaleca się, by narta miała długość między 80 a 100 cm.

W skład zestawu wchodzi jeszcze stelaż z regulowaną długością oraz uprząż z zapięciem w pasie i na klaciek piersiowej. Niestety, przyczepkę lekko

Chociaż osoba ciągnąca przyczepkę rowerem czy pchając ją podczas spaceru też doceni jego działanie. Dzięki użyciu elastomeru ze specjalnej mieszanki gumy doskonale wybiera nierówności i nie wymaga żadnej regulacji czy ustawień.

Kolejnym elementem poprawiającym komfort pociechy jest siateczka z tyłu wózka, na tzw. pleckach dziecka, która zapewnia optymalną wentylację i cyrkulację powietrza. Z kolei okna wózka zostały wykonane z przezroczystego tworzywa sztucznego, które zapewnia

maluszkowi doskonałą widoczność. Specjalne szelki (5-punktowe pasy bezpieczeństwa), w które zawsze należy małego podróżnika zapiąć, gwarantują mu stabilność i bezpieczeństwo. Pamiętajmy, że to nasz pasażer jest najważniejszy, i gdy będzie mu niewygodnie, zimno czy w inny sposób źle, kolejne wspólne wycieczki nie będą dla niego przyjemnością. Ważnym plusem Croozera jest bardzo pojemny, zintegrowany z wózkiem bagażnik, który znajduje się z tyłu. Zapakujemy do niego wszystkie potrzebne rzeczy na co dzień (choćby zakupy), ale również na dłuższe całodniowe wycieczki.

Croozer Kid 1 jest bardzo dobrze wykonana. Wszystkie elementy są dopracowane, idealnie połączone i zrobione z wysokiej jakości materiałów. Ma liczne odblaski, nisko położony środek ciężkości, zapewniający małą wywrotność, oraz hamulec bezpieczeństwa. Wiele dodatkowych akcesoriów można dokupić: specjalny hamaczek dla miesięcznego maluszka, który perfekcyjnie amortyzuje wstrząsy, czy pokrowiec przeciwdeszczowy. To niezwykle wszechstronne urządzenie, które pozwala na wiele aktywnych godzin spędzonych z dzieckiem.

Testowałem model z 2015 r., obecnie niewystępujący już w sprzedaży. Modele 2016/2017, czyli Croozer Kid 1 Plus, różnią się od poprzednich jedynie zestawem świateł.

Wszystkie modele Croozer 2016 wyposażone są w system szybkiego montażu Click&Crooz, który pozwala jedną ręką zamontować lub wypiąć np. kółka. Mają również certyfikaty m.in. TÜV Rheinland, ASTM International, DIN EN a poszycie nie zawiera żadnych toksycznych substancji. Przyczepki Croozer Kid Plus jako jedyne dostępne na rynku posiadają własne, sensoryczne światła (do przyczepki Croozer bez amortyzacji można je dokupić).

Test: Grzegorz Miedziński







Narciarstwo pociągowe

Skijöring wywodzi się od norweskiego słowa *skikjøring* (ski – „narty”, *kjøre* – „powozić”). W Polsce bardziej znany jest pod nazwą skiring. Początkowo był to rodzaj zimowego transportu. Dziś to przede wszystkim sport polegający na ściganiu się narciarzy (maszerów) ciągniętych przez zwierzęta – zazwyczaj konia lub psi zaprzęg, czy też pojazd (motocykl, skuter śnieżny). Najwcześniej ten sport pojawił się w Norwegii, w II połowie XIX w. Wyścigi odbywały się m.in. w Szwajcarii, Kanadzie, a także na naszym Podhalu. W Zakopanem zawody były organizowane w okolicach Wielkiej Krokwi oraz na Równi Krupowej. Cieszyły się bardzo dużą popularnością i można było nawet obstawiać zakłady w totalizatorze. W zawodach startowali górale, żołnierze Wojska Polskiego oraz mieszkańcy innych części kraju. Wojsko występowało w mundurach, a pozostali uczestnicy – w strojach regionalnych. Zawody składały się z trzech konkurencji: wyścigu kumoterek – kiedy koń ciągnął nieduże sanie, powożone przez gazdę i gaździnę; wyścigu skiringu – kiedy na koniu ciągnącym narciarza siedział jeździec oraz skiringu – wówczas narciarz, trzymający się specjalnej uprzęży, dodatkowo powoził koniem. Ta ostatnia konkurencja wymagała największej zręczności.

Na zdjęciu jeden z zawodników skiringu przejeżdżający przez Krupówki w drodze na zawody. Grudzień 1933 r.

ZA INFORMACJE DZIĘKUJEMY PREZESOWI ZWIĄZKU PODHALAN
ODDZIAŁ: ZAKOPANE – ANDRZEJOWI SKUPIENIOWI



FILIPINY – KRWAWA WIELKANOC



INDIE – WŚRÓD ŁOWCÓW GŁÓW



BENIDORM – HISZPAŃSKIE MIAMI

Poznaj Świat **MIESIĘCZNIK**

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek

katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji

Julia Michalczevska
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Dyrektor ds. marketingu

Noemi Zielińska
noemi.zielinska@poznaj-swiat.pl
tel. 502 632 917

Zespół i współpracownicy

Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Marcin Dobas,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Magdalena Żelazowska

Grafika & DTP & Prepress

Maciej Jurkowski, Julia Michalczevska

Korekta

Joanna Lewandowska

Adres redakcji

80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo

PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych

Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?

Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA

numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadaacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA



facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

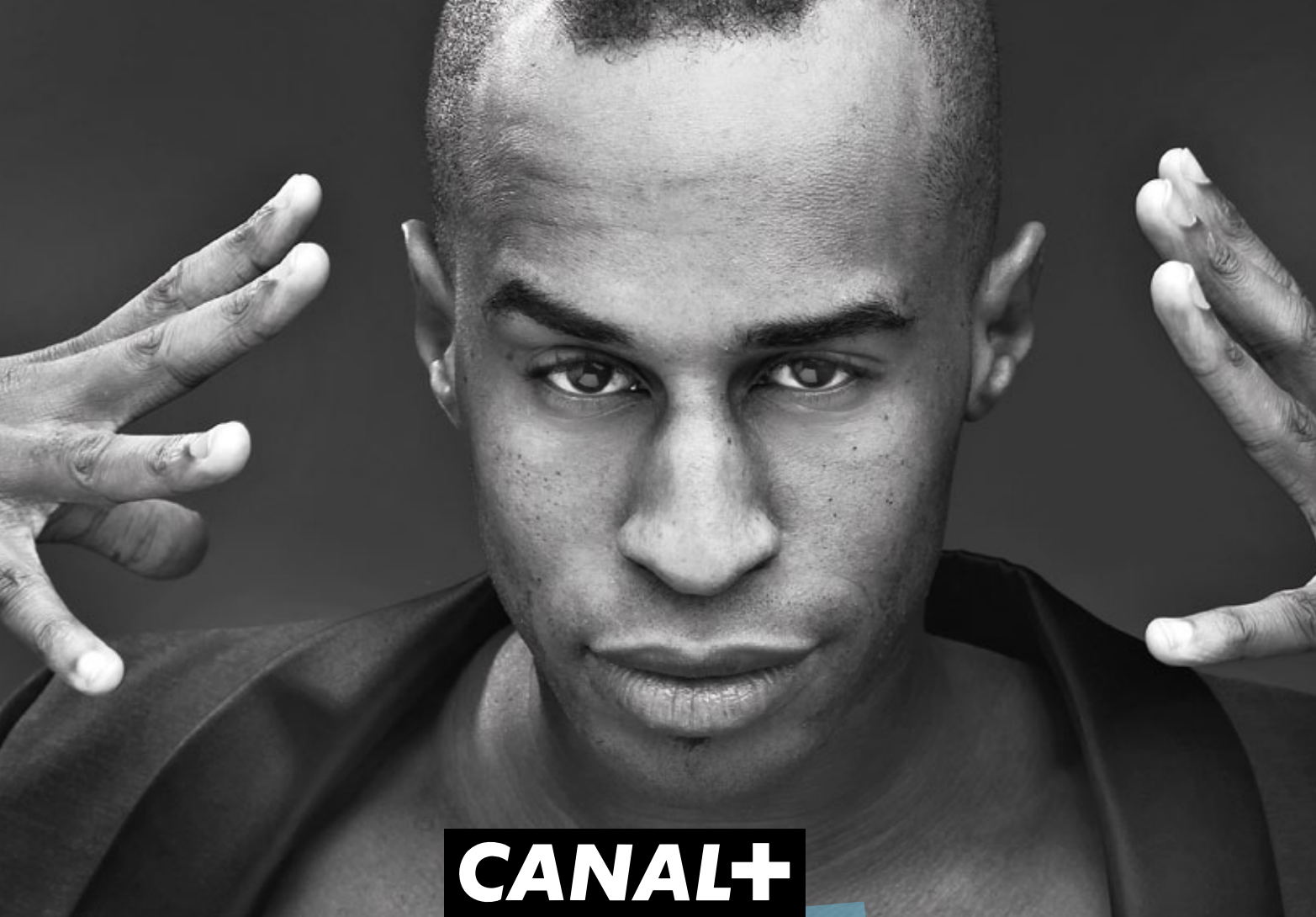
Reklama outdooru

Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata

Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.



CANAL+

 **Discovery**

NOWA SERIA
POLACY
Z WYBORU

OD 2 MARCA,
CZWARTKI, 21:00



FOT. JERZY GNATOWSKI, © DISCOVERY NETWORKS

KANAŁ DOSTĘPNY W NC+
I WYBRANYCH SIECIACH KABLOWYCH.

www.berninaexpress.ch

Bernina Express

Z lodowca aż do palm



**Bernina
Express**

Światowe Dziedzictwo UNESCO!



Jedna z najbardziej spektakularnych podróży przez Alpy: Bernina Express, którego trasa biegnie z Chur/Davos/St. Moritz – Valposchiavo – Tirano, łączy różniące się pod względem języka i kultury regiony – wijącą się linią i bez wykorzystywania napędu zębatego. Poczuj atmosferę Włoch w podróży przez malowniczy region Valtellina, nad brzegami Lago di Como, aż do samego miasta Lugano, a wszystko to w nowoczesnym autokarze Bernina Express Bus. Panoramiczna podróż wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO Koleją Retyką to prawdziwa przyjemność.

Więcej informacji: Tel +41 (0)81 288 65 65, railservice@rhb.ch, www.berninaexpress.ch